Nr. 16. Warszawa, dnia 8 (21) Kwietnia 1900 r. Rok XX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 7.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

NEUTRALNOŚĆ.

Mogły dzienniki transwalskie i Transwalczykom przychylne więcej domyślać się i przeczuwać, niż wiedzieć, gdy przed miesiącem zaczęły podawać głuche wieści o przygotowujących się pochodach wojsk angielskich przez kolonie wschodnio-afrykańskie Portugalii: dziś już dzienniki angielskie i z Anglikami trzymające nie zdołają się wykłamać, że Portugalia otworzyła dla wojsk angielskich przejście przez krainę zwaną Beira, stanowiącą część pomienionych kolonij, a do ostatnich czasów na żadnej ogólniejszej nie wskazaną mapie. Interpelowano już o to pogwałcenie neutralności sam rząd portugalski w Izbie poselskiej w Lizbonie; interpelowano i rząd francuski w Izbie deput. w Paryżu. Nad Tagiem wymowa ministeryalna zalała interpelantów roztopionem złotem prawdy dyplomatycznej, która była tajemnicą dla pospólstwa czytającego gazety i układającego interpelacye; nad Sekwaną p. Delcassé odparł usiłowania, które chciały zamienić go w organ sprawiedliwości międzynarodowej, głosem surowej zasady, że każde państwo ma obowiązek czuwać tylko nad własną swą neutralnością i nie może być korepetytorem innych w nauce obowiązków prawa międzynarodowego.

Rząd portugalski bronił się dawniej jeszcze, przed wojną, bez przewidywania jej, zaciągniętem zobowiązaniem, że dawać będzie wolną drogę wojskową Anglikom z pomorza w głąb posiadłości około r. 1890 pozyskanych. Według istniejących zwyczajów etykiety międzynarodowej, zobowiązania, o ile dotyczą pewnych użytków, zapewnianych jednej stronie przez drugą bez względu na wojnę konkretnie wybuchłą, bez żadnego z nią związku i przed chwilą jej wybuchnięcia — szanowane być powinny. Portugalia miałaby słuszność, gdyby przemarsz wojsk mógł się zmieścić w obrębie tak zapewnianych użytków; ale właśnie że się nie mieści — i kraik Emanuelów i Sebastyanów nie ma słuszności. Etykieta międzynarodowa do r. 1874 pozwalała Szwajcarom, najmującym się choćby całymi kantonami, walczyć w wojskach nieprzyjacielskich bez wciągania samej Szwajcaryi w wojnę; ale etykieta międzynarodowa wyraźnie wzbrania przemarszu wojsk przez terytoryum neutralne. Jest to zakaz absolutny: wobec niego nic nie znaczą użytki, dogodności, uprzejmości poprzedzające wojnę i bez myśli o niej zapewniane: umowa dawniejsza tak samo nie zdoła wytworzyć prawowitego źródła zobowiązania, jak go nie wytworzy najświeższa, w milczące choćby tylko przyzwolenie owinięta. Wszelkie takie prawa i obowiązki dobre są tylko na czas pokoju i dla tych, którzy się niemi wiążą; nie mają żadnego znaczenia dla trzecich i na czas wojny. Wszelkie dowolności stron uwikłanych w taki stosunek zagłusza ryk prawa: „Neutralny nie da przejścia żadnemu z walczących; w przeciwnym razie sam walczącym się staje.“ Ta zasada w art. 770 kodyfikacyi Bluntschlego (*Das moderne Völkerrecht*), wyrażona zakazem przepuszczania wojsk strony wojującej — jest jednem z rdzennych znamion neutralności.

Jest ona więcej niż znamieniem: jest duszą. Bez niej neutralności by nie było. W ograniczeniu woli i rozporządzalności swem terytoryum mieści się i rękojmia bezpieczeństwa i życia. Neutralność tą zasadą żyje. Z niej płynie inna, że każdy neutralności swej bronić powinien, a jeśli nie broni, prawa też neutralność traci i może być uznanym za nieprzyjaciela. Probierza rzetelności by nie było, gdyby nie było takiej groźby. Przeciwko tajemnej zmowie nie byłoby odporu, nie byłoby na nią pęta. Na terytoryum obce sobie może wejść albo wróg, albo przyjaciel: w pierwszym wypadku go się odpiera, a spełniając względem siebie obowiązek życia, jednocześnie względem trzecich spełnia się obowiązek neutralności; w drugim — słusznie ściąga się na siebie odpowiedzialność za uczestnictwo w wojnie w charakterze sprzymierzeńca: Dozwolenie przejścia przez Beirę dla Transwalu jest najczystszem *Casus belli.* Portugalia wypowiedziała mu wojnę samem tem dozwoleniem: Transwalczycy mają teraz prawo bez wypowiedzenia już ognie na terytoryum Portugalii rozpalić.

Nie ma słuszności p. Gołuchowski, gdy się zasłania handlowym charakterem zakupów i idącej za nimi dostawy koni dla wojsk angielskich. Wprawdzie drobne sprzedaże, chociażby nawet broni, doznają pobłażania: ale tutaj rozmiary zakupów i ładunków okrętowych były tak wielkie, że neutralność bezstronna, surowa, ścisła, nieoglądająca się na potęgę i stosunki z potężnym — nakazywała zakaz. Inny byłby los koni dla Transwalu, inny jest dla Anglii. Dwie miary: jedna dla tych,

z którymi się będzie miało kiedyś geszefty, druga dla tych, których dyabli brać mogą, jeśli chcą. Cała ta neutralność, obowiązująca według rozsądku i sumienia tylko państwa i rządy — u kogóż, jeśli nie u państw i rządów bezpieczne znajdować będzie przystanie i przytułki? Można sobie lekceważyć prawa słabszego, ale się powinno szanować — etykietę, gdy się raz już przestąpiło próg wspólnego salonu sprawiedliwości.

Tydzień polityczny. Otwarcie wystawy paryskiej na zakończenie starego, a według cesarza Wilhelma na rozpoczęcie nowego wieku — oto najważniejszy wypadek polityczny ubiegłego tygodnia. Jeżeli chodzi o hałas właściwy polityce, to go narobiono tyle jakby rzeczywiście popis przemysłu i przemyślności kulturowej narodów — był popisem samych państw w ich życiu politycznem międzynarodowem. Dobrze mówił na otwarciu d. 14 b. m. p. Loubet, lepiej Millerand zakończył hymnem na cześć pracy. Czarna ziemia, czarna na niej dola ludzka, czarne ręce od trudu — wszystko znikło pod różową gazą wymowy ministeryalnej. Dawny warchoł dziwnie się na ławie ministeryalnej uspołecznił. Niemcy podobno olśniewają, a wcale przecież przybyć nie mieli: tymczasem są gośćmi wielce miłymi. Już im się Alzacyi nie pamięta. Tak dawno! ktoby o tem jeszcze myślał? Potoki franków spłyną dzięki Niemcom do kieszeni, a paktolami i największa demokracya, i najradykalniejsza rzeczpospolita nie gardzi. Pochlebia Francuzom ta rola środkowego punktu Europy, którą świeżo wystawą powszechną wzbogacają: ale ich nie mniej nęci dobry interes handlowy, jaki zrobi Paryż, a przez Paryż i Francya, na całym tym przemysłowo-kulturowym popisie. Na dnie idei ludzie trzeźwi powinni mieć zawsze geszeft. Trzeźwości tym Gallom nie brakło nigdy.

Bawi w Europie „poselstwo" transwalsko-orańskie nadzwyczajne; przewodniczy mu Fisher z Oranii. Serce się ściska na myśl, że królowa holenderska nie śmie dać im posłuchania z obawy Anglii. „Poselstwo" jest gromadką ludzi nieszczęśliwych, których dyplomacya jak zapowietrzonych od siebie odpycha.

Na widowni wojennej na pograniczu z Przylądkiem od wschodu Boerowie oblegają Wepener z zamkniętymi w nim Anglikami. Czy zdobędą czy odstąpią — na los wojny to nie wpłynie. Ważniejsze jest to, co po pomyślnem zaskoczeniu Anglików na północ od Bloemfonteinu w d. 31 z. m. stanie się na szachownicy orańskiej Kroonstadt - Brandfort - Winburg - Ladybraud, czy się Anglicy przedrą do Natalu z Oranii, i o ile zacięża na Transwalczykach swym przemarszem przez Beirę. Wogóle działania z powodu deszczów omdlały. Anglicy wyczekują pogody i koni. Pogodę sprowadzi czas, konie dają nietylko Węgry — ale podobno nawet Ameryka, gdzie jednocześnie mają się wzmagać sympatye polityczne dla Boerów. Konie będą tratowały Boerów — ale polityka ma swe wdzięki dla wszystkich: czemużby miała być srogą dla Dolara?

ŻYCIE SPOŁECZNE.

RUCH ETYCZNY

(Zarys rozwoju towarzystw kultury etycznej).

Je ne suppose rien,
je ne propose rien —

III.

Cóż właściwie po za sferą literackiego oddziaływania zdziałał ruch etyczny w Niemczech? Berlińska grupa powołała do życia instytucyę niezmiernie sympatyczną: biuro informacyjne urządzeń dobroczynnych *). W Berlinie istnieje mnóstwo instytucyj dobroczynnych, służących różnym celom i odpowiadających przeróżnym potrzebom. Założyciele jednak biura rozumieli, że nie zawsze należy pomagać czynem, a często rada uczciwa, wypływająca z doświadczenia, wskazówka, dokąd się zwrócić należy — mogą odegrać rolę ważniejszą od pomocy materyalnej. Zajęto się przedewszystkiem zbieraniem materyałów co do rodzaju i charakteru instytucyj dobroczynnych Berlina. Zajęło to kilka lat pracy. Na podstawie tych wiadomości, niezmiernie cennych, bo ze źródeł pierwszorzędnych czerpanych, ułożono dzieło**), zawierające opis wszystkich zakładów filantropijnych Berlina (dzieło takie przydałoby się niezmiernie u nas!). W biurze Towarzystwa istnieje biblioteka podręczna, zawierająca literaturę „dobroczynności," staraniem Towarzystwa radca miejski Münsterberg — wygłosił szereg wykładów w tym zakresie i urządził seminaryum, gdzie ludzie dobrej woli — zazwyczaj możne panny z towarzystwa — uczą się, w jaki sposób z zabawy filantropijnej (której służyły i służą dotychczas ich wysiłki — i to *nietylko* w Niemczech) uczynić źródło moralnej rozkoszy dla siebie i istotnej, szczerej pomocy bliźnim. Towarzystwo udzieliło dotychczas około 4,000 porad.

Do liczby nieudanych prób należy zaliczyć ogłoszenie konkursu na *podręcznik etyki*, który napisany naukowo, a zarazem popularnie, mógłby w każdej chwili uczyć rodziców i nauczycieli, jak wychowywać dzieci w zasadach etyki umiejętnej. Żadne z nadesłanych dzieł nie otrzymało nagrody ***).

Najważniejszą atoli zasługą Towarzystw etycznych niemieckich jest urzeczywistnienie dawno już kiełkującego planu połączenia stowarzyszeń etycznych wszystkich krajów w jeden *Związek etyczny*. Jeszcze na zjeździe, odbytym w r. 1893 w Eisenach, postanowiono dążyć do tego celu i ułożono nawet program, który obowiązywać miał przyszły organizm międzynarodowych pragnień etycznych. Potrzeba było atoli trzech lat na to, aby przekonać towarzyszów angielskich i amerykańskich o konieczności współdziałania etycznego różnych krajów. Istotnie, we wrześniu 1896 r. zjechali się przedstawiciele Ameryki, Anglii, Niemiec, Austryi, Włoch i Szwajcaryi. Ogłoszono program Związku etycznego, założono sekretaryat ze stałem siedliskiem w Zurichu, którego zadaniem ma być wydawnictwo stałych wiadomości o rozwoju kultury etycznej, informowanie członków, propaganda, popieranie świeżo zakładanych towarzystw i prowadzenie biblioteki, która ma z czasem zawrzeć w sobie całą możliwie zupełną literaturę etyczną. Na dalszym planie stoi utworzenie w Zurichu akademii etycznej — przybytku wiedzy, gdzieby profesorowie specyaliści wykładali zasady etyki oraz wszystkich tych umiejętności, które się z etyką, jako nauką, łączą. Tymczasem jednak brak środków i brak ludzi, którzyby myśl tę urzeczywistnić pozwolili.

Program, przyjęty przez „Związek etyczny" i obowiązujący większość towarzystw kultury etycznej, brzmi jak następuje. Przytaczamy go umyślnie w dosłownem brzmieniu, jako najważniejszy dokument literacki całego ruchu dotychczasowego.

„Celem Towarzystw etycznych jest popieranie moralnych zamiarów i celów ich członków. Lepsze życie etyczne nie jest tylko darem, który ofiarować mamy bliźnim, ale przedewszystkiem jest dobrem, które sobie stale, nieustannie wywalczać i zdobywać musimy. Środkami wiodącymi do urzeczywistnienia tego celu są: *a*) ścisła łączność ludzi, stanowiących towarzystwa etyczne; *b*) wychowanie i kształcenie etyczne młodzieży na podstawie etyki wolnej od wszelkich hypotez i założeń metafizycznych albo wyznaniowych; *c*) samokształcenie moralne.

„Towarzystwa etyczne powinny zająć pewne stanowisko w stosunku do wielkich kwestyj społecznych, nurtujących społeczeństwa współczesne, których rozwiązanie wymaga najwyższego napięcia sił moralnych. Uznajemy tedy, że dążenie mas ludowych do życia godnego człowieka — jest celem moralnym pierwszorzędnej wartości, skutkiem czego uznajemy obowiązek popierania tego dążenia. Mniemamy jednak, że nie chodzi tylko o nędzę klasy ubogiej, ale nie w mniejszym stopniu o nędzę *moralną* klasy posiadającej.

„Uznajemy za obowiązek organów Związku etycznego gromadzenie broni duchowej w celu osiągnięcia postępu społecznego: pobudzanie do prac naukowych, mających na celu pojednanie zasad indywidualizmu i uspołecznienia i połączenia ich w głębszem pojmowaniu życia; dokonywanie ankiet z dziedziny statystyki moralnej, któreby poglądowo wykazywały konieczność zreformowania gruntownego stosunków społecznych naszej doby i przy pomocy takich środków pedagogicznych podnosiły sumienie społeczeństwa do wyżyn sprawiedliwości społecznej.

„Towarzystwa etyczne powinny dążyć do urzeczywistnienia powyżej wyłożonych zasad w związku ze stosunkami cywilizacyjnymi swego otoczenia — a członkowie poszczególnych towarzystw etycznych winni prostotą swego obejścia, skromnością obyczajów i rzetelną pracą w zakresie spraw ogół obchodzących — współdziałać postępowi społecznemu.

„Widzimy w instytucyi rzeczywistego małżeństwa monogamicznego nieoszacowane dobrodziejstwo dla całej ludzkości — konieczne zarówno dla moralnego rozwoju jednostki, jak dla stałego rozkwitu kultury moralnej wogóle; żądamy jednak, aby czystość małżeństwa zachowywana była bezwzględnie w życiu i poglądach ogółu, stosowana konsekwentnie i integralnie.

„Należy *kobiecie* umożliwić rozwój jej duchowej i moralnej indywidualności i zapewnić jej równe prawa z mężczyzną na wszystkich polach działalności i życia.

„Jedno z najważniejszych zadań życia kulturalnego widzimy w powróceniu *pedagogice* jej zatraconego jednolitego charakteru, gdyż wtedy tylko będzie mogła skutecznie pielęgnować nowy ideał etyczny.

„Popieramy najzupełniej z całkowitem oddaniem się sprawę *pokoju powszechnego*; zadanie nasze w tej dziedzinie sprowadza się do zwalczania militaryzmu nietylko na zewnątrz, ale i w świecie wewnętrznym, w duszy naszych współobywateli, do zniszczenia wpływu, który wywiera na uczucia młodzieży; do paraliżowania egoizmu nacyonalistycznego, namiętności i pychy pseudo-narodowościowej; do głoszenia nakazów sumienia i rozumu, zagłuszanych w naszej dobie przez dzikie instynkty i ślepą nienawiść.

„Nawołujemy nasze towarzystwa etyczne nietylko do pracy nad rozwojem własnych instytucyj, ale dla wspólnych, zrzeszonych wysiłków w kierunku stworzenia nowego ideału życia i postępowania, któryby jednocześnie odpowiadał wymaganiom jasnej myśli, czystego uczucia i niesplamionej obłudą woli; wierzymy bowiem, że ideał taki, pożądany gorąco przez całą ludzkość współczesną, uzdrowi i uszczęśliwi wszystkie klasy społeczne i wszystkie narody."

Tak oto przedstawiają się, opowiedziane w kilku słowach, dzieje i stan obecny

*) Auskunftstelle für Wohlfahrtseinrichtungen.
**) Die Wohlfahrtseinrichtungen Berlins.
***) Por. *Prawda*. 1899, str. 439.

działalności społecznej, która nosi nazwę ruchu etycznego. Ten pobieżnie naszkicowany obraz byłby jednak niezupełnym, gdybyśmy nie zaznaczyli przynajmniej, w jak wysokim stopniu działalność ta praktyczna zależną jest od ruchu, który panuje w naszych czasach w zakresie etyki naukowej, umiejętnej. Wspomnieliśmy już, ile „etycy,“ jako działacze praktyczni, zawdzięczają bodźców, wskazań, wyjaśnień — uczonym przedstawicielom tej umiejętności w Niemczech. Ta zależność, ten stosunek dłużnika do wierzyciela, ta wdzięczność wreszcie da się jak najsłuszniej uogólnić i rozciągnąć na cały ruch etyczny.

Że uwagi nasze dotyczyły tylko i wyłącznie działalności praktycznej, tedy o literaturze etyki, jako umiejętności, tutaj mówić nie będziemy. Wychodzi to zupełnie po za ramy naszego czysto sprawozdawczego szkicu. Nie możemy atoli nie zaznaczyć, że ruch etyczny korzysta z pewnego, specyficznym blaskiem świecącego działu tej literatury naukowej. Ten dział, owo skrzydło w wielkim pałacu literackim *Dobra* — to nie etyka Benthamów i Spencerów, ale raczej owa „złota przędza“ Kanta i Milla — dziś na nowych, doskonalszych warsztatach tkana rękami Höffdinga i Guyau, Jodla i Simmla. To nie owa rozsądna buchhalterya, którą uporządkował Mister Spencer na użytek bogatych bandlarzy z City londyńskiej, chorych niekiedy na niestrawność sumienia i łaknących chwili jaśniejszego poglądu na stosunek egoizmu do takiegoż egoizmu, który eufonicznie nazywany bywa altruizmem. Jeżeli zaś istnieje jaki stosunek — w czasie czy przestrzeni — pomiędzy tymi dwoma działami literatury, to ten chyba tylko, że gdzie jeden z nich się kończy, tam dopiero zaczyna się drugi. Pierwsza bowiem stronica pierwszego rozdziału onej nowej książki nosi tytuł: *poświęcenie*.

Albowiem w tem miejscu zaczyna się wszelka wogóle moralność; tam tylko, gdzie jest *ofiara*, budzi się „Homo sum“; tam tylko zapalają się ołtarze człowieczeństwa.

***

ZJAZD RZEMIEŚLNIKÓW.

II.

Organizacye kredytowe, ułatwienie zbytu wyrobów, bezpośrednie nabywanie towarów surowych, związki wytwórców, ulgi transportowe, wykształcenie elementarne i zawodowe — to są zasadnicze kwestye, roztrząsane na zjeździe, których *mniej więcej* pomyślne przeprowadzenie w życiu może *jako tako* zabezpieczyć tę w części przeżytkowaną formę produkcyi na pewien czas od zagłady, grożącej ze strony przemysłu wielkiego. Chcąc skutecznie walczyć z tym olbrzymem, trzeba się chwycić środków, jakimi się on posługuje — a więc dążyć do taniej produkcyi, do czego znowu potrzebne: stowarzyszanie się rzemieślników, wytworzenie dobrych sił fachowych i zapewnienie im odpowiednich warunków, szybkie i umiejętne zastosowywanie wszelkich udoskonaleń technicznych; następnie — organizacya handlu, a więc kredyt, nabywanie produktów surowych bezpośrednio, ułatwienia przewozu, jasne oryentowanie się w położeniu rynków tudzież w gustach i wymaganiach spożywców, usunięcie pośrednictwa pasorzytniczego, zwalczanie tandety itd.

To wszystko bardzo pobieżnie poruszono na zjeździe, ale nie sformułowano dostatecznie. W pracach zjazdu brało udział aż 1,352 członków. W znacznej atoli większości ujawnił się znamienny konserwatyzm, który dążył do obrony form dzisiejszych. Ciemni bronili ciemnoty i wyzysku warsztatowego.

Pewną ruchliwość, energię i szersze uświadomienie potrzeby reform wykazali między innymi rzemieślnicy warszawscy. Powieźli oni do Petersburga kilka referatów, gruntownie opracowanych, podali kilka wniosków, które zjazd przyjął i zatwierdził. „Źródłem siły do walki z potężną produkcyą fabryczną będzie legalne zjednoczenie się, a rezultatem tego zjednoczenia — pomoc korporacyjna, składy spółkowe, kredyt tani i rozszerzenie granic zbytu wyrobów trwałych, pięknych i niedrogich.“ „Nasze urządzenia rzemieślnicze — mówił p. Józef Rzętkowski, przedstawiciel rzemieślników warszawskich — opierają się na postanowieniu księcia namiestnika w Królestwie Polskiem, które zorganizowało zgromadzenie rzemieślnicze w r. 1816. Organizacya ta w głównych zarysach odpowiada potrzebom rzemieślników. Jesteśmy przywiązani do tej ustawy i pragniemy utrzymać ją jaknajdłużej, nie w celu zmonopolizowania rzemiosł w rękach rzemieślników cechowych, lecz w celu korzystania z prawa organizacyi i pomocy wzajemnej, z prawa kontrolowania nauki rzemiosła i z prawa udoskonalania go przez tworzenie zakładów pomocniczych, jak: muzea, warsztaty wzorowe, kursy uzupełniające i szkoły.“ Pragnienia i życzenia te rozwinięto w toku obrad i, chociaż w drobnej cząstce, zamknięto w postanowieniach zjazdu.

Co do kredytu, uznano za najwłaściwsze stworzenie taniego i łatwego. Zarządy rzemieślnicze i cechy powinny popierać takie organizacye kredytowe, za pomocą udzielania funduszów. Nadto należy wyjednać ze skarbu państwa fundusz odpowiedni na kapitał zakładowy każdej nowopowstającej instytucyi kredytowej dla rzemieślników, w miastach powiatowych najmniej po tysiąc rubli, a w gubernialnych i obwodowych—najmniej po 5,000 rb.

Najobszerniejsze są postanowienia zjazdu w sprawie nauki rzemiosł. Uchwalono, że tylko ci terminatorowie mogą być przyjmowani do warsztatów, którzy skończyli szkołę przynajmniej jednoklasową. Jeżeli zaś takich szkół niema, to majster powinien w ciągu trzech lat dać odpowiednie wykształcenie terminatorowi, który inaczej nie może otrzymać świadectwa na czeladnika. Nadto zjazd uchwalił czynić starania o zwiększenie liczby szkół dla uczniów rzemieślniczych. W niedziele i dni świąteczne uczniowie bezwarunkowo powinni być posyłani do szkół. Co do klas wieczornych i nauki szkolnej w dni powszednie, zjazd przyszedł *oględnie* do przekonania, że nauka taka jest „pożądana,“ ale nie może być „obowiązkową“: organizacya jej musi być zależną od warunków czysto miejscowych. Co do wykształcenia fachowego, zjazd uznał za niezbędne: zaliczenie rysunków do przedmiotów obowiązkowych we wszystkich szkołach początkowych, zarówno męzkich, jak i żeńskich. W szkołach tych powinna być wprowadzona także nauka pracy ręcznej. Tam, gdzie jest bardziej rozwinięty przemysł rzemieślniczy, należy stworzyć szkoły przygotowawcze zawodowe dla tych uczniów, którzy skończyli kurs szkół początkowych, lecz jeszcze nie doszli do wieku, otwierającego im wstęp do warsztatów. Między innemi w szkołach tego typu powinny być wykładane rysunki, kreślenie i geometrya początkowa. Niezbędne jest dla każdego rzemiosła opracowanie programu chociażby w ogólnych zarysach, któryby obejmował zakres nauki terminatorów i służył za podstawę przy zawieraniu umowy co do terminu nauki w warsztatach. Opracowanie takich programów powinno być obowiązkiem zarządów i cechów rzemieślniczych. Jednym z ważnych bodźców zarówno dla majstrów, jak i uczniów, mogą być wystawy peryodyczne wyrobów uczniowskich. Mogą one nawet być środkiem udoskonalenia nauki. Ażeby te wystawy doprowadzić do skutku, zjazd postanowił zakołatać do ministeryum skarbu o zapomogę na urządzenie ich sposobem próby w Petersburgu, Moskwie i Warszawie. Pożądane jest również stworzenie wzorowych warsztatów szkolnych, które powinny nietylko przyjmować i wykonywać zamówienia, ale ułatwiać uczniom rozszerzenie nauki fachowej, teoretycznej i praktycznej. Należy stworzyć osobny typ, coś w rodzaju zawodowych seminaryów nauczycielskich, któreby kształciły wzorowych majstrów szkolnych.

Poruszona w osobnym referacie sprawa pijaństwa śród rzemieślników nieletnich, wywołała również sformułowane uchwały zjazdu. Mianowicie upatrzono źródło złego w obecnych warunkach bytu i pracy terminatorów. O naprawie jednak tych warunków nic nie powiedziano, lecz tylko przepisano doraźną receptę: zabronić używania alkoholu w warsztatach, zarówno podczas pracy, jak i wypoczynku. Co do przyjmowania terminatorów, zjazd uchwalił, jako środek niezbędny, obowiązkową regestracyę uczniów. Nie wolno ich wogóle przyjmować do terminu bez uprzedniej umowy piśmiennej, jasno określającej warunki. Umowy takie powinny być wolne od wszelkich podatków. Uczniów mają prawo przyjmować tylko ludzie piśmienni, należący do cechu i posiadający stosowne kwalifikacye moralne, nie złapani na żadnych nadużyciach, popełnianych względem uczniów. Ważne jest również postanowienie, dotyczące skrócenia terminu próby, tj. badania zdolności uczniów Zwykle badanie to jest posługą, niemającą nic wspólnego z rzemiosłem. Terminator zamiata izby, jest używany do wszelkich posyłek pana majstra i pani majstrowej, a nawet do przynoszenia gorzałki z „monopolu.“ Termin tych posług osobistych dotychczas trwał sześć miesięcy. Otóż zjazd uważa za stosowne skrócić go do trzech miesięcy. Szkoda tylko, że nie zwrócono uwagi na istotę tych prób i nie uchwalono odpowiednich środków, zapobiegających nadużyciom, które powstrzymują wykwalifikowanie terminatorów.

Osobny referat w sprawie dozoru nad uczniami rzemieślniczymi wywołał następujące uchwały zjazdu: Pożądane jest stworzenie komisyj uczniowskich lub instytucyj, do których powinni wejść przedstawiciele rzemiosł pod przewodnictwem reprezentanta rządowej inspekcyi rzemieślniczej. Organy te powinny posiadać przywileje pierwszej instancyi w roztrząsaniu spraw, wynikających z niedotrzymania umowy w nauce tudzież z innych powodów. Nadto powinny one opracować postanowienia obowiązujące o utrzymaniu i uczeniu terminatorów, obmyśleć wnioski tudzież przedsiębrać zabiegi w sprawie udoskonalenia nauki rzemiosł i wszelkich potrzeb w tej mierze.

Poruszono także sprawę wypoczynku świątecznego, urządzenia internatów uczniowskich; uznano jako środek wielkiej wagi, ogłoszenie konkursu (na wniosek dr. Mackiewicza) z nagrodą na zbadanie, o ile i jakie roboty warsztatowe działają ujemnie na organizm dzieci i nieletnich. Nadto zjazd przyszedł do przekonania, iż niezbędne są lekarskie oględziny obowiązkowe uczniów przy przyjmowaniu do terminu. Prawo powinno stanowczo określić wiek uczniów, który pozwala wstępować im do warsztatów rzemieślniczych. Naturalnie należy tu brać pod uwagę kategorye rzemiosł, wymagających cięższej lub lżejszej pracy. Wreszcie bardzo ważna jest uchwała w sprawie unormowania godzin pracy. W każdym zakładzie rzemieślniczym powinno być wywieszone ogłoszenie z wyszczególnieniem godzin pracy nieletnich (od 15 roku życia). Nadto uchwalono przeznaczyć uczniom sześć godzin tygodniowo (oprócz niedziel i dni świątecznych) na uczęszczanie do szkół. Zdaniem przed-

stawicieli zjazdu, inspekcya rzemieślnicza powinna być zupełnie odrębna od fabrycznej, wchodzić zaś do niej mają rzemieślnicy z wyboru.

Takie są w ogólnych zarysach uchwały pierwszego wszechpaństwowego zjazdu rzemieślników. Jak widzimy, nie wyczerpał on wszystkich spraw i nie rozsnuł ich dostatecznie na tle ogólnych potrzeb ekonomicznych i społecznych. To wszystko, co uchwalił, ma bardzo doniosłe znaczenie i gdyby zaproponowane i uznane środki potrafiono wprowadzić w życie, to już przemysł rzemieślniczy w dziejach swego istnienia mógłby zaznaczyć nowy okres rozwoju, a raczej okres walki z przemysłem wielkofabrycznym. Szkoda tylko, że ta walka jest nazbyt jednostronna, że ma ona na względzie przedewszystkiem interesy panów majstrów. Praca niezależna, samodzielna, jest objawem bardzo dodatnim: produkcya wielkofabryczna ma wiele stron ujemnych i bynajmniej nie jest ideałem wytwórczości, związanej z warunkami pracy i potrzebami spożywców. O ileby rzemiosła mogły sobie wywalczyć taką dziedzinę, która byłaby korzystną nietylko dla samych wytwórców, lecz także dla pracowników zarobkujących i dla ogółu spożywców — rozwój tej formy produkcyi byłby wielce pożądanym. Ale, niestety, w rzeczywistości na pierwszym planie stoi tylko interes osobisty, i to nawet niedobrze zrozumiany, gdyż przedsiębiorcy usilnie bronią form i zwyczajów, niezgodnych z warunkami i rozwojem życia. Rzemiosła, wytwarzające mało i drogo, chcąc utrzymać jako tako swoje przedsiębiorstwa, muszą się uciekać do wyzysku, który nawet częstokroć nie pochodzi ze złej woli majstrów, lecz jest poprostu nieodłącznym warunkiem ich istnienia przy obecnej formie produkcyi rzemieślniczej. Ażeby te warunki zmienić z ogólnym pożytkiem, trzeba rzemiosłom dać choć odrobinę tych środków wytwarzania, jakimi się posługuje przemysł wielki. Jak rzekliśmy, sprawy te poruszono na pierwszym zjeździe pobieżnie i chaotycznie, z niezupełnem uświadomieniem ogólnych warunków i potrzeb życia. Może zjazd następny lepiej się przygotuje do tych zadań podstawowych w reformie i utrzymaniu nadal rzemiosł.

Zen. Piet.

Z ŻYCIA FRANCYI.

Paryż, 17 kwietnia.

Municypalności odgrywają w życiu rzeczpospolitem Francyi dość ważną rolę. W tym kraju centralizacyi jakobińskiej i ujednostajnienia pozostawiono im względną tylko swobodę: wybierani merowie mogą być zawieszani w czynnościach, a nawet otrzymywać dymisyę od ministra spraw wewnętrznych; uchwały rad municypalnych ulegają zatwierdzeniu prefektów rządowych, a nawet w pewnych warunkach mogą oni narzucać municypalnościom pewne rozporządzenia i wydatki; w szczególności Paryż, jako tradycyjne siedlisko niespokojnych żywiołów, cieszy się zupełnie wyjątkowym ustrojem, który z mianowanego przez rząd prefekta departamentu Sekwany czyni właściwego rządcę stolicy, dodaje mu do pomocy jeszcze osobnego prefekta policyi, a wybieralną radę miejską, złożoną z 80 członków, sprowadza w zasadzie do roli czysto doradczej. Pomimo to wszystko jednak; dzięki ogólnemu duchowi i kierunkowi rozwoju społeczeństwa, rady municypalne są najwierniejszym wyrazem miejscowej opinii publicznej, reprezentują interesy ludności, korzystają z szerokiego prawa inicyatywy i odwołując się do opinii, prędzej czy później przeprowadzają swe zamiary, tem bardziej, że członkowie rad municypalnych, będąc z urzędu wyborcami senatorów, wywierają w ten sposób wpływ pośredni i na władze centralne.

Paryż pod względem wielkoprzemysłowym nie jest najbardziej rozwiniętem ogniskiem kraju; zaludniony w ogromnej części przez drobne mieszczaństwo, ustępuje on pod tym względem niektórym miastom Francyi północnej, w których działalność reformatorska municypalności jest też bardziej charakterystyczną; jednak stopień jego rozwoju w kierunku wielkoprzemysłowym jest tak znaczny, że w połączeniu szczególnie z przeszłowiekowemi tradycyami paryskiego drobnomieszczaństwa kupieckiego, a jeszcze bardziej rzemieślniczego, zapewnia stolicy znaczną wyższość nad przeciętnym poziomem kraju. Pod względem stosunku różnych stronnictw mały parlament ratuszowy stale wyprzedza o lat kilkanaście właściwą Izbę poselską, w której stanowczą przewagę ma względnie zacofana, opierająca się na drobnem chłopstwie prowincya. Stąd liczne i częste zatargi między rajcami paryskimi a władzą centralną, wyrazicielką większości parlamentu: stąd u stronnictw postępowych żądania rozszerzenia samorządu stolicy i przywrócenia wybieralności mera (jak za czasów Rewolucyi francuskiej); stąd też rada miejska, pamiętając o tem, że Paryż był zawsze sercem i czołem Francyi, że narzucał całemu krajowi swą wolę — wkracza tak często, choć tylko za pomocą uchwał, unieważnianych zaraz przez prefekta, na grunt ogólno-polityczny i stara się być ostrogą, popychającą parlament i rząd w kierunku radykalnym, anti-klerykalnych i społeczno-reformatorskim, tem się wreszcie tłomaczy, że cały obóz reakcyjny szczególną nienawiścią darzy paryską radę municypalną. Że zaś z natury samej swych czynności i zadań ten organ ludowładztwa paryskiego musi mieć przedewszystkiem charakter praktyczny, poziomy, codzienny, więc łatwo wstecznikom przybierać pozór estetów, arystokratów ducha i z wyrazem niesmaku mówić o „demokratycznej miernocie,“ gnieżdżącej się w ratuszu. Te i tym podobne zarzuty nie wzruszały dotychczas ludu paryskiego, który, trzeba przyznać, wolał sprawy uliczne, budowlane, hygieniczne, szkolne itp. powierzać ludziom mało znanym, przeciętnym, lecz wiernie pilnującym jego interesów, niż wielkim artystom i filozofom, którzy albo się o ten zaszczyt nie ubiegali, albo wskazówek wyborców nie chcieli uważać za obowiązujące dla swej wielkości. Niedawno wynaleziony antysemityzm pozwala klerykałom nadawać sobie pozór demokratyczny i szukać drogi do serca ludu: pod tą maską liga „Ojczyzny francuskiej“ postanowiła przypuścić podczas nadchodzących wyborów szturm i do ratusza paryskiego, aby wyprzeć z niego „klikę wolno-mularską.“ Z tego powodu, w celu odparcia ich zarzutów, p. Paweł Strauss, dziś senator, a do niedawna radca miejski paryski, ogłasza rozprawę o owocach działalności municypalności paryskiej od r. 1871, czyli od czasu, jak została ona znowu wybieralną, a przez to samo — republikańską i postępową. Daje to i nam wyborną sposobność do przyjrzenia się tej działalności.

Początki jej były bardzo ciężkie wskutek nieładu finansowego — pozostałości po długoletnich, wolnych od wszelkiej kontroli rządów prefekta cesarskiego, barona Hausmanna. Mówi się zwykle, że drugie cesarstwo, a zwłaszcza prefekt przekształcili miasto, stworzyli Paryż nowożytny, przeprowadzając całą sieć bulwarów, alei, ogrodów i skwerów. Zapewne, ale pomysł tego przekształcenia, zarówno jak Lesseps — myśl przekopania Suezu, odziedziczyli po saint-simonistach; a przeprowadzili go w pewien specyalny, sobie właściwy sposób, mając z jednej strony na widoku — uniemożliwienie barykad i powstań ulicznych, z drugiej — olśnienie ludności i gości zagranicznych, oraz olbrzymie spekulacye gruntowe, na których sam prefekt i jego protegowani płci obojej robili złote interesy. Dość że w r. 1876 dług miasta wynosił 4,391 milionów, uznano wtedy, że dzieła przekształcania miasta dalej prowadzić niepodobna. Mimo to rychło podjęto je na nowo, lecz nie dokończono, bo — według słusznego wyrażenia historyka Paryża, Du Campa — losem takiej stolicy jest być wiecznie niewykończoną. Roboty wszakże znacznie posunięto i dziś dług Paryża wynosi 4,839 milionów. Za to powiększenie długu o 448 milionów, dzięki zręcznym konwersyom, wykonano trwałe roboty, powiększające aktywy miasta o 900 milionów.

Wiele pieniędzy i pracy poświęcono na uzdrowotnienie miasta: udoskonalenie kanalizacyi, odprowadzenie masy nieczystości, zamiast do Sekwany, na odległe pola, potrzebujące użyźnienia, sprowadzenie z daleka czystej wody źródlanej; pod wpływem tych udoskonaleń w przeciągu ostatnich ośmiu lat śmiertelność w Paryżu zmniejszyła się o 3 na 1,000, czyli uchroniono od śmierci 8,000 istnień ludzkich na rok, a co do śmiertelności niemowląt Paryż zajmuje pierwsze miejsce po New-Yorku: wynosi ona tu 14,3%, gdy w Wiedniu np. 41,7%.

Pod względem oświetlenia Paryż przewyższa także Rzym, Wiedeń, Londyn, chociaż stoi niżej od Berlina i Hamburga. Ale na punkcie oświetlenia i komunikacyi wewnętrznej rada miejska ma zupełnie skrępowane ręce długoletnimi monopolami, pozostawionymi jej w spadku również przez administracyę drugiego cesarstwa. Potężne towarzystwa akcyjne, władające tymi monopolami, mające swych popleczników w trybunałach, w radzie stanu, w biurach ministeryalnych i parlamencie, odmawiają radzie wszelkich ulepszeń, bo mają na widoku tylko własną dywidendę, niezagrożoną żadną konkurencyą i używają wszelkich środków, aby przeszkodzić przejściu w inne ręce koncesyj np. na nowe linie tramwajowe, co wymaga zatwierdzenia ministra robót publicz. Rada miejska ma wpływ ograniczony nawet na te kategorye robót, które, pomimo niechęci ekonomistów urzędowych, często podzielanej przez rząd i parlament — municypalność prowadzi na własną rękę, bez koncesyi; nominacya bowiem i awansowanie inżenierów i wszelkich urzędników zależą zawsze w ostatecznej instancyi od ministeryum.

Tak samo rzecz się ma z niezmiernie ważnym w wielkiem mieście wydziałem dobroczynności, zwanym tu urzędowo bardziej demokratycznie: „Pomocą publiczną.“ Nieraz dają się słyszeć zupełnie uzasadnione skargi na straszną rutynę biurokratyczną, która tam panuje, na nadużycia w szpitalach, na nieprodukcyjne trwonienie pieniędzy; ale na to wszystko miasto, choć daje pieniądze (w ciągu lat 25 podwoiło swą 10-milionową zapomogę), ma jednak wpływ bardzo mały. „Edyle“ nasi dzięki swej wytrwałości wprowadzili sporo ważnych udoskonaleń: uproszczenie formalności przy przyjmowaniu do szpitalów, odosobnienie zapadłych na choroby zaraźliwe, utworzenie osobnych szpitalów dziecięcych, wprowadzenie infirmierek świeckich i otwarcie specyalnych szkół dla nich, założenie przytułków dla położnic, służby akuszerów w szpitalach lub w domach prywatnych. Prócz tego rada miasta Paryża, stanowiąca zarazem większość rady departamentu Sekwany, do którego należą, oprócz stolicy, tylko jej najbliższe przedmieścia, na własną rękę wnika w sprawy dotychczas pozostawiane życiu rodzinnemu i inicyatywie prywatnej. Te dwie rady razem utworzyły przytułki nocne, ochrony dla sierot, kolonie letnie, bezpłatne biura najmu, obiady ludowe, stacye

dezinfekcyjne, szkoły dla ociemniałych i głuchoniemych, kolonię w Dun-sur-Auron w celu umieszczania obłąkanych spokojnych przy rodzinach, warsztat dla robotników-kalek, gdzie robi każdy, co i jak może; zarządzają sławną szkołą dla dzieci płci obojej w Compuis *), więzienie Petite Roquette dla dzieci-włóczęgów zamieniono na szkołę dla moralnie opuszczonych Lepelletier'a St. Fargeau; dawane są bilety na mieszkania, zapomogi na komorne i, w razie braku pracy, zapomogi kobietom ciężarnym, a szczególnie świetnie działa opieka nad dziećmi w najmłodszym wieku; umieszczane są na koszt departamentu po wsiach u mamek i niamek, przyczem bardzo ścisły i sumienny dozór lekarski i wymagania, stawiane wzamian za dobrą opłatę, wpływają korzystnie nawet na podniesienie poziomu hygienicznego tych wsi i wychowania własnych dzieci wieśniaków.

Z pomocą rodzicom, a nawet z pomocą publiczną wogóle ściśle wiąże się kwestya szkolna, kwestya przygotowania dzieci i młodzieży do życia samodzielnego pod względem fizycznym i umysłowym. Owej pracy oddawała się i oddaje municypalność paryska, ta „gromadka filistrów," z największem zamiłowaniem: w tej dziedzinie zrobiła ona najwięcej. W r. 1871, pomimo wysiłków Duruya, jedynego prawdziwego demokraty między ministrami Napoleona III, dla 70,000 dzieci w departamencie Sekwany nie było miejsca w szkołach elementarnych, z których połowa zresztą znajdowała się w rękach zakonników i zakonnic. Municypalność republikańska przeprowadziła w szkołach elementarnych zasadę neutralności religijnej, zbudowała 240 nowych szkół, pomnożyła liczbę nauczycieli i polepszyła ich byt, daje dzieciom bezpłatnie nietylko naukę, ale i przybory szkolne, książki, a niezamożnym—obuwie, odzież, śniadanie. Budżet szkół elementarnych z 6 milionów po 30 latach wzrósł do 29 mil. Nie dość na tem: wyprzedzając rząd i parlament, miasto Paryż pierwsze zakładać zaczęło liczne i doskonale urządzone szkoły rzemiosł: fizyki i chemii stosowanych do przemysłu, ślusarstwa i zawodów pokrewnych, rysunku i ceramiki, pasmanteryi, fabrykacyi mebli, drukarstwa i introligatorstwa, szycia, mód, haftów, kucharstwa itp. Ochronki zamieniono na wyborne „szkoły macierzyste" dla najmłodszych. Przy szkołach elementarnych powstały instytucye przedłużające niejako i utrwalające ich działanie: stowarzyszenia przyjacielskie byłych uczniów wraz z nauczycielami, kasy wzajemnej pomocy, wycieczki wspólne wakacyjne, lekcye śpiewu, gimnastyki, odczyty i kursy wieczorne; obecnie wyrasta na tym gruncie obszerna i silna organizacya uniwersytetów ludowych, o których pomówimy innym razem. Municypalność dała im w każdym razie początek, tworząc wyższe wykłady przystępne w ratuszu. Ufundowała też własnym kosztem dwie ważne katedry przy Sorbonie: historyi rewolucyi francuskiej (Aulard) i historyi transformistycznej istot żyjących (Giard), proponowaną trzecią (Jauresa) gremium profesorskie jeszcze odrzuciło... Szczodrze też na wezwanie ministeryum oświaty szafowało miasto zasiłkami na budowę szkół wyższych, np. nowej Sorbony i innych, oraz licznych średnich.

Tu rząd zostawiał miastu wiele swobody; lecz daleko bardziej je krępował w dziedzinie reform społeczno-ekonomicznych. Pozwolono wprowadzić zstępujący podatek mieszkaniowy z zupełnem zwolnieniem od podatku poniżej 500 fr. komornego, lecz dotychczas o opór rządu i parlament rozbijają się wszelkie usiłowania zniesienia ceł rogatkowych na rzeczy najpotrzebniejsze, tak uciążliwych dla ludności najuboższej, a zastąpienia ich (bo dają one prawie połowę dochodu) postępowym podatkiem dochodowym. Oddawna też municypalność walczyła z przedsiębiorcami robót, z prefekturą, z radą stanu, sądzącą zatargi administracyjne w ostatniej instancyi, o dopuszczenie stowarzyszeń robotniczych do podejmowania się robót miejskich, a bardziej jeszcze — do wprowadzania w kontraktach z przedsiębiorcami robót punktów, oznaczających *maximum* dnia roboczego i minimalną, choć zmienną podług lat i warunków, skalę płac. Długoletni zatarg rozwiązał dopiero zeszłoroczny dekret ministra handlu i przemysłu, Milleranda, upoważniający wyraźnie rady municypalne i departamentalne do zawierania takich kontraktów.

Przy ocenie tych rezultatów nie należy zapominać o dwóch okolicznościach, wypływających z zależności wysoce rozwiniętego miasta od całego kraju, a ogromnie utrudniających działalność reformatorską. Z jednej strony są to wzmiankowane już wyżej względy bezpieczeństwa państwowego. Jak odbijają się one na życiu i dobrobycie stolicy, na to niedawno np. zwrócono uwagę z powodu pożaru Komedyi Francuskiej: od czasu, jak strażacy ogniowi wzięli udział w Komunie paryskiej, zaprzestano rekrutować ich, jak dawniej, z pomiędzy znających dobrze miasto i fach paryskich robotników budowlanych: dziś pułk straży ogniowej, zależny ściśle nie od municypalności, lecz od ministra wojny, przeznaczony do gaszenia nietylko ognia, składa się ze służących parę lat tylko szeregowców-chłopów i z oficerów niespecyalistów, którzy spędzają na tej służbie także po kilka lat tylko między jednym a drugim awansem. I to już sprawa ogólniejsza, bardziej zasadnicza — im pewne miasto staranniej polepsza byt swych mieszkańców, udoskonala szkoły, dobroczynność, szpitale itd., tem więcej z reszty kraju, nieznającej tych udoskonaleń, napływa do niego ludności najuboższej, najbardziej potrzebującej pomocy, która powiększa jego ciężary.

K. Radosławski.

IDEAŁ PRAWDY

ze stanowiska hygieny ciała i duszy.

Odczyt publiczny na Osady rolne.

II.

Kto nie kocha prawdy dla prawdy, kto nie kocha prawdy dla dobra ludzkości, kto nie zdobywa wiedzy z myślą o mnożeniu dobra i sławy kraju rodzinnego, ten szuka jej dla sławy osobistej lub widoków materyalnych. Dwa te motywy zaś należą do najniezdrowszych ze stanowiska hygieny ciała i duszy.

Gorączkowe pragnienie sławy, próżność i ambicya jako motywy pracy na polu poszukiwań prawdy, są już same przez się niepodniosłemi i niesympatycznemi. Nie godzi się wszakże nazbyt surowo sądzić ludzi i czyny i w idealizmie dochodzić do przesady. Nie można zaprzeczyć, że daleko idące ambicye, wielkie gorączki sławy, dużo przyczyniły światu ludzkiemu zwycięztw na polu nauki i sztuki. Miłość sławy, to namiętność, którą przyroda wszczepiła w ducha ludzkiego może jako jeden z ważnych czynników rozwoju i jeżeli człowiek ma prawo niezaprzeczone do szukania w życiu przyjemności nawet czysto fizycznej, tem mniej pozbawiać go można prawa dążenia do rozkoszy, wypływającej z uznania, poklasku, podziwu. Pragnienie uznania należy, bądź co bądź, do najszlachetniejszych popędów egoizmu, tem bardziej, że wiąże się ono pośrednio z pożytkiem powszechnym — więc jakkolwiek na odmiennej drodze, ale wyniki egoizmu utożsamiają się tu i są wynikami jakoby altruizmu. I jakkolwiek najbardziej rozwijać należy popędy czystego altruizmu, godzi się pielęgnować umiejętnie egoistyczną miłość sławy i uznania, dla podsunięcia, niezniszczalnemu prawie instynktowi egoistycznemu, najszlachetniejszych przynajmniej torów. Za daleko wszakże idąca ambicya prowadzi do wszystkich ujemnych dla zdrowia ciała i duszy skutków zbyt wygórowanego egoizmu.

Miłość sławy, która stać się może namiętnością trawiącą, prowadzi łatwo do przepracowania umysłowego, połączonego z przykremi wzruszeniami niepokoju, zawodu i im podobnemi bardzo ujemnie oddziaływającemi na zdrowie ciała i sprawność ducha. Próżność, przechodząca w namiętność gorączkową, wywołuje pośpiech i zaniedbanie tych dróg, które może powoli ale pewniej prowadzą do zdobycia prawdy, a które nazwaliśmy metodami, jak również do zaniedbywania krytycyzmu powinnego niezmiennie górować nad stosowaniem metod i wyprowadzaniem wniosków. Właśnie próżność ta sprowadza często na manowce i pobudza do wzmiankowanej powyżej donkiszoteryi w nauce. Ludzie tacy w pośpiechu do sławy, bez prac przygotowawczych, bez studyów właściwych pragną łowić ryby przed niewodem, sądzą, że potęgą władzy swej kombinacyjnej i polotu wyobraźni zdobędą to, do czego inni zaledwie po znojnej a powolnej drodze studyów dochodzą. Ludzie tacy najczęściej marnieją fizycznie i umysłowo, dochodzą do obłędu wpadają też często w bezwiedną szarlataneryę, z której pomocą walczą życie całe, zabarwione jaskrawo chwilowym, bezkrytycznym poklaskiem rzeszy, ale poczerniono zbyt gęsto gorzkimi zawodami i rozczarowaniem.

Często też bodźcem do szukania prawdy bywa gorączka zdobycia tą drogą majątku. Bez wątpienia, i ten bodziec prowadzi czasem wyjątkowo szczęśliwych do zamierzonego celu i zdarza się, że szczęśliwcy tacy stają się pożytecznymi ogółowi i sobie — ale bywa to tylko wyjątkowo. W prawidle ogólnem rycerze prawdy, którzy w istocie rzeczy są rycerzami złotego cielca, nie osiągają ani jednej, ani drugiego. Zbyt gorączkowe dążenie do zdobycia fortuny przez wielkie wynalazki lub odkrycia naukowe mnoży szkodliwe zdrowiu wzruszenia, łacno prowadzi do przepracowania umysłowego, naraża na zawody i niejedną już ofiarę zaprowadziło do domu obłąkanych.

Niezależnie od samego natężenia umysłu, od rodzaju motywów do pracy umysłowej pobudzających i wywoływanych tą drogą wzruszeń szkodliwych, które to wpływy zaliczyćby można do czynników wewnętrznych, istnieją jeszcze czynniki zewnętrzne, które niepomyślnie oddziaływać mogą na zdrowie w pracy, mającej na celu zdobywanie prawdy. Tu należą np. wpływy szkodliwe życia zbyt sedentarnego, nadwerężenie wzroku przez odczytywanie pracowite rękopisów starych lub przez pracę z pomocą mikroskopu, wpływy szkodliwe gazów przy poszukiwaniach chemicznych, niebezpieczeństwa natury mechanicznej przy doświadczeniach fizycznych, wielkie a różnorodne niebezpieczeństwa, związane z wyprawami śmiałemi do międzyzwrotnikowych puszcz i pustyń lub na morza podbiegunowe, niebezpieczeństwa groźne przy badaniach lekarskich, dotyczących chorób zaraźliwych itp. Tu wszakże ustaje kwestya przeciętnej pracy ku pożytkowi społecznemu, bo wchodzimy w dziedzinę bohaterstwa i poświęcenia. A jak nie może być mowy o oszczędzaniu cierpienia, krwi lub życia, gdy chodzi o walkę z wrogiem usiłującym przynieść szkodę państwu, tak również nie może być mowy o czuwaniu nad interesami indywidualnymi tam, gdzie chodzi o wielkie interesy ludzkości całej

*) Por. *Przegląd pedagogiczny* z r. 1898, nr. 2—5.

lub kraju rodzinnego w dziedzinie zapasów, śród których widnieje sztandar z godłem „O prawdę“ — zwłaszcza że do tej walki idą zapaśnicy na ochotnika. A jeżeli już nie sława imienia własnego, jeżeli nie sława przyczyniona krajowi rodzinnemu, jeśli nie tryumf ludzkości przysporzony — to pozostaje dla szlachetnych tych bohaterów największa nagroda, bo rozkosz, płynąca z miłości ideału. A podniosłą jest miłość ideału prawdy, albowiem jest ona cokułem, na którym dźwiga się najszczytniejszy ideał życia ziemskiego, bo ideał dobra!

Po za warunkami szczególnymi, w których praca w imię prawdy może być zdrowiu w najobszerniejszem znaczeniu wyrazu, szkodliwą — jest ona w zasadzie czynnikiem dla zdrowia pożytecznym. Narządy ustroju naszego winny spełniać właściwe im czynności i to w pełni sprawności swojej — jest to prawo fizyologiczne warunkujące i trwanie i rozwój najlepszy ustroju; co więcej, winny sprawność swoją ćwiczyć i zwiększać — naturalnie w pewnych granicach.

Że praca umysłowa, nawet względnie natężona, nie jest szkodliwą dla ogólnego stanu zdrowia, a więc jest wskazaną ze stanowiska nietylko moralnego ale i hygienicznego, dowodzi już to, że w szeregu najdzielniejszych i najgłębszych myślicieli spotykamy zadziwiającą liczbę ludzi, którzy dochodzą do wieku sędziwego. Nie podejmujemy się kwestyi tej traktować statystycznie: praca umysłowa jest bowiem nikłym momentem wobec wielu innych najróżnorodniejszych, które jej towarzyszą a wpływ mieć mogą doniosły na zdrowie, poglądowo tylko sprawy tej dotknąć chcemy. Bo jeżeli tylko wielu ludzi, którzy odznaczali się wyjątkowo wielką pracą umysłową dochodzi do wieku sędziwego, już to dowodzi, że praca taka zdrowiu szkody nie przynosi. Matematyka i filozofia wymaga największych natężeń myśli. Otóż przyjrzyjmy się naprzód długowieczności najznakomitszych matematyków naszych:

Mikołaj Kopernik	żył lat	70
Jan Brzoski Broscius	„	71
Marcin Poczobut Odlanicki	„	82
Jędrzej Gawroński	„	73
Jan Śniadecki	„	74
Henryk Niewęgłowski	„	73 przeszło

Z pośród najznakomitszych matematyków europejskich żyli:

Roger Bacon	żył lat	80
Galileł Galileusz	„	78
Jan Wallis	„	87
Izaak Newton	„	85
Gotfried Leibnitz	„	70
Jan Bernoulli	„	81
Leonard Euler	„	76
Józef Lalande	„	75
Józef Lagrange	„	76
Fryderyk Herschell	„	84
Jan Herschell	„	79
Piotr Laplace	„	78
Jan Amici	„	97
Lambert Quetelet	„	88
Karol Gauss	„	78

Z pośród 4 najznakomitszych twórców transcendentalnej filozofii niemieckiej dożyli: Kant do 80 lat, Schelling 79, Fichte 82, Hegel 61.

Z innych najznakomitszych filozofów żyli:

Hobbes 91 lat, Locke 72, Berkeley 69, Voltaire 84, Schoppenhauer 72.

Zapytajmy teraz czy każda prawda ma dla nas znaczenie? I czyż mamy racyę sięgać bezkrytycznie po każdą osiągalną prawdę? Możnaby przy pomocy skomplikowanych i nader umiejętnie stosowanych metod poznawania badać prawdy, a jednak praca taka mogłaby być poprostu bezsensownem zużywaniem czasu i sił. Wyobraźmy sobie, że ktoś przedsiębierze zbadanie wielkości powierzchni pierwszego lepszego odłamu skały o bardzo nieregularnych kształtach. Może to być praca bardzo żmudna, wymagać dużego znawstwa pewnych działów matematyki, może doprowadzić wreszcie do bardzo rzetelnego i ścisłego rezultatu, obliczona wielkość powierzchni może być niewątpliwą *prawdą*, ale prawda ta nie będzie miała absolutnie żadnej wartości. Można z drugiej strony, również przy użyciu bardzo umiejętnych metod poznawania badać wielkość powierzchni jednego cala kwadratowego błony śluzowej kiszki, najeżonej, jak wiadomo, mnóstwem tak zwanych kosmków chłonnych. Wynik tu osiągnięty ma wielką doniosłość, bo objaśnia energię chłonienia przewodu kiszkowego wogóle, bo stwierdza wielką prawdę zadziwiającej celowości najdrobniejszych szczegółów budowy ustroju zwierzęcego, rzuca znamienne światło na gospodarkę w przyrodzie wogóle, na harmonię, wzajemne przystosowanie i wzajemną zależność zjawisk w świecie. Badania w wielu miejscach głębokości rzeki niesplawnej i najpracowiciej wykonane profile jej dna, przysporzyłyby nam sumę najzupełniej bezwartościowych prawd — badania natomiast wielce pracowite głębokości oceanów i mórz wzbogacają nas doniosłemi prawdami, które i praktyczne mają znaczenie w zastosowaniu do żeglugi morskiej i naukowe, dopełniając poglądów naszych na budowę skorupy ziemi. Prawda ma tedy znaczenie tylko wówczas, gdy bezpośrednią przyniesie nam może korzyść, lub gdy służąc w porównaniu z innemi prawdami do wyprowadzania uogólnień, pogłębiających rozumienie nasze porządku rzeczy śród bytu, staje się dla nas tą pośrednią drogą użyteczną. Im bardziej umysł ludzki rozjaśnia sobie prawa rządzące zjawiskami w przyrodzie, ten wyraźniej zdaje sobie sprawę ze stanowiska swojego własnego śród bytu, tem trafniej ocenia zadania swoje, cele, obowiązki i prawa, tem skuteczniej, nie schodząc na manowce, pracuje ku swojemu pożytkowi. Im bardziej umysł ludzki rozjaśnia prawa rządzące zjawiskami w przyrodzie, tem łacniej potrafi na ich podstawie ujarzmiać dla siebie siły władnące w przyrodzie i zaprządz je ku celom własnego doskonalenia się, zmniejszania cierpienia.

Wszystko, co doskonali nas moralnie, co zmniejsza cierpienie, co podnosi falę życia, jest dobrem — zadaniem ostatecznem poznania prawdy, jest przeto mnożenie dobra na ziemi.

Prawda, która ani w danej chwili, ani w przewidywaniu nie uczynić nic może dla dobra, jest bez wartości, a praca ku jej zdobyciu już przez to samo jest szkodliwą, że odrywa siły od zdobywania rzeczy pożytecznych. *Ludzkość ma niezaprzeczone prawo, wszelkie objawy pracy i dążeń ludzkich sądzić ze stanowiska swoich interesów*, ma też prawo potępiać, cokolwiek jest marnowaniem i rozrzutnością energii, a potępiać jak najbardziej surowo i bezwzględnie, cokolwiek jej interesom przynosi oczywistą szkodę.

Czyż prawda jakakolwiek, jeżeli tylko jest prawdą rzetelną, może istotnie przynieść komukolwiek szkodę? Jeśli zamiast unosić się gołosłownymi frazesami, w sercu żywić będziemy naprawdę wielką miłość bliźniego i dla prawdy cześć nabożną, zmuszeni będziemy przyznać niewątpliwy pewnik, że prawda pożyteczną być może tylko dla tych, którzy jej dorośli, którzy jej są godnymi.

Prawda — to słońce, bez którego nie byłoby życia, ale prawda — to straszne słońce, w którego promieniach tylko w wielkiej bardzo oddali utrzymać się jest zdolne życie ziemi. Już te ziemskie krainy, które za blizko są słońca, nie mogą wyjść ze stanu wiecznego pustkowia, a są liczne objawy życia, które tylko w cieniu łagodnym mogą się ostawać i rozwijać. Prawda jest wielką jasnością, człowiek oślepłby, gdyby się ku niej wprost zwrócił i dlatego to niepojęta siła twórcza przyrody powołała do życia świat ludzki z zamkniętemi oczami duszy. Tak niejedno zwierzę na świat przychodzi z zamkniętemi oczami ciała: a gdy opuszcza ciemne wnętrze łona macierzystego, promienie słońca przenikając przez czas pewien lekko przeświecające powieki zamknięte, przyzwyczajają siatkówkę zwolna do działania światła, potem zaś w półcieniach poranków i wieczorów rozwierające się zwolna powieki, przystosowują wzrok do wpływów dobroczynnych światła dziennego.

Dzieje cywilizacyi uczą nas, jak odległemi od prawdy były pojęcia ludów przez długie wieki zamierzchłej przeszłości, jak olbrzymio różnemi są odległości od prawdy ludów dziś na ziemi żyjących, jak olbrzymie różnice blizkości prawdy cechują rozliczne warstwy jednego społeczeństwa. Brak światła i głód światła, blada zorza drażniąca jakoby łaknienie wschodu słońca, długotrwałe a grube błędy jako dziwnie potężny zaczyn zdobywania jasności prawdy, wychowywania się i potęgowania ducha ludzkiego — oto dziwna metoda rozwoju kultury ludzkiej, jakiej użyła wielka, mądra a troskliwa matka przyroda!

Wiemy dobrze, że ludy, zanim dorosną do wielkiego poczucia świetlanej, w duchu zrodzonej bezwzględnej miłości bliźniego, do rozumnego ograniczenia popędów egoistycznych, muszą się powodować instynktami, jak: obawa, poczucie niewoli i panowania, nadzieja nagrody itp. i jak najpierwotniejsze nawet religie pogańskie u samego źródła nieprawdy czerpać musiały i umiały obowiązki i prawa, któreby uchroniły życie społeczne od uniemożliwiającego je chaosu dążeń, popędów i pragnień jednostek.

Ta sama prawda, która uczynić może nieprzerwanym potokiem cnót, miłości i pracy pożytecznej życie myśliciela — stałaby się niewątpliwie źródłem własnej zguby i niepoliczonych krzywd dla bliźnich, uświadomiona maluczkiemu duchem. Bo prawda, powtarzamy, pożyteczną być może tylko dla tego, kto jej dorósł, kto zdolen jest daną prawdę oceniać w świetle prawd innych, kto słowem do posiadania danej prawdy ma odpowiednie prawo. Uświadamiać pewne prawdy ludziom niedorosłym do ich oceny, do wyprowadzania z nich wniosków kształcących ich wiedzę, dopełniających harmonijnie lub zwiększających o kolejny szczebel zapas prawd innych, może być nietylko bezowocnem, ale wysoce szkodliwem.

Uprzytomnianie nie-lekarzowi pewnych najprawdziwszych obrazów chorobowych, nietylko że pożytku nie przyniesie, ale wywoła najpewniej, przez brak opanowania całości przyczyn i warunków powstawania danych chorób, albo wprost przez zbyt silne wrażenie, chorobę pod postacią hypochondryi, neurastenii, hysteryi itp. Zapoznawanie nie-lekarzy z pewnemi chorobami umysłowemi lub chorobowemi zboczeniami instynktów jest nietylko bezpożytecznem, ale wysoce szkodliwem. Wtajemniczanie niepowołanych w pewne zboczenia zwyrodniałego poczucia moralności, w pewne genezy, dojrzewanie i urzeczywistnianie się zbrodni, bardzo interesujące dla psychologa, fizyologa, antropologa, słowem dla filozofa, może najsmutniejsze przyczyniać następstwa rzeszy niepowołanych.

Otóż na nieszczęście pewnemu odłamowi wysoce utalentowanych ludzi przyszła ku końcowi wieku bieżącego fatalna myśl, błędna podwójnie, bo odnośnie do metody i celu, dotycząca tak zwanej prawdy psychologicznej. Ludzie ci naprzód sądzą, że samą intuicyą, samą tylko siłą wyobraźni zdobywać można prawdy, a powtóre, że o ile zdobywać je można, zdobywać je należy bez wyboru i bez wyboru rozpowsze-

chniać, a dla tem skuteczniejszego rozpowszechniania przyodziewać je w formy możliwie ponętne, możliwie potężnie drażniące podniebienie rzeszy głodnej wrażeń. Nieszczęsne to przekonanie ogarnia cały zastęp beletrystów, poetów i malarzy *).

(C. d. n.)

Dr. H. Nusbaum.



PAMIĘTNIK.

Przyczynki do czcigodnej autobiografii.

W ostatnim zeszycie *Biblioteki Warszawskiej* znajdujemy niewielki artykuł p. Jana Blocha, zatytułowany „Wojna w Transwalu. Uwagi i wnioski teoretyczne.“ Niewiele się z tego artykułu nauczyć można. Jest to tylko rozumowana parafraza owej nieskończonej ilości depesz i artykułów, któremi nas tuczą od wielu już miesięcy gazety. W promieniu wielkich wypadków drobni ludzie wyrastają do wielkości pół- i ćwierćolbrzymów. Tak było z p. Blochem. Kiedy przed półtora rokiem zagrano pobudkę pokojową, p. Bloch ogłosił swoje — według własnej, wypróbowanej receptury wykrojone, sfastrygowane, z nowoczesnego hasła podziału pracy i fabrycznej produkcyi poczęte — sześciotomowe dzieło, które wydane zostało jednocześnie po rosyjsku, angielsku, i niemiecku, oczywiście nakładem autora, i zwróciło nań uwagę może nie tyle mężów stanu albo uczonych przedstawicieli nauki prawa międzynarodowego, ile reporterów i histeryków płci obojej. Kiedy następnie konferencya zebrała się w Hadze, pospieszył tam śladem reportera angielskiego, Steada, i bankier warszawski Zanim jednak mateczniki wszelakiego kłamstwa i obłudy — mówimy o prasie codziennej warszawskiej — przyniosły depesze (własne) o sukcesie, jaki odniosł p. Bloch—pani Suttner—i pan Stead w Hadze, otrzymaliśmy zeszyt *Review of Reviews* z portretem, życiorysem, monologami i dyalogami, jakie prowadził p. Bloch z wydawcą tego miesięcznika, Steadem. Miało to też zapewne służyć sprawom pokoju powszechnego.

Przed miesiącem czytaliśmy w *Neue Freie Presse* artykuły niejakiego *Staatsrath Johann von Bloch*, w których oczywiście p. Bloch sądził ze stanowiska strategicznego operacye angielskie w Transwalu. Dziś uczynił sobie kazalnicę z *Biblioteki Warszawskiej.* Powiedzieliśmy już, że treść tego artykułu jest bardzo nikła i nie zwrócilibyśmy na niego uwagi, gdyby nie kilka zdań niezmiernie charakterystycznych, które uważamy za stosowne podkreślić i do zapamiętania polecić. Przemawia do nas autor z wysokości co najmniej piramidy Cheopsa: ciągle słyszymy o wątpliwościach, które budzą w p. B. takie lub inne metody strategiczne Anglików („...jakkolwiek mam pewne wątpliwości...“), o znakomitem doświadczeniu i wiedzy, jakie zdobył przy budowaniu kolei żelaznych — („...jako doświadczony specyalista w danym zawodzie, a mianowicie, jako budowniczy wielu tysięcy wiorst kolei żelaznych i prezes ich zarządów w ciągu lat czterdziestu...“). Myliłby się jednak, ktoby myślał, że to zwyczajna egipska piramida — wewnątrz pusta. Bynajmniej. Wypełniają ją najszczelniej boczki — złota, ułożone symetrycznie a równo, tak dokładnie, że tworzą nawet estetyczną całość. Na szczycie zaś stoi bankier. Posłuchajcie bowiem: „*Z mojego polecenia czynione były w Szwajcaryi próby strzelania kulami wielkości głów ludzkich...*“ Więc rząd szwajcarski za pieniądze (z polecenia!) warszawskiego bankiera prowadzi badania mające jakoby na celu dobro ludzkości, a w gruncie rzeczy i przedewszystkiem przedsiębrane gwoli apetytu dorobkiewicza, łaknącego wyróżnień i tytułów! Zaprawdę trudno nie pisać satyry: i ten *Staatsrath von Bloch*, i owa rada związkowa demokracyi helweckiej i ten artykuł *Biblioteki Warszawskiej* — pisma napozór poważnego — to wszystko przenosi nas w świat szminki operetkowej, w świat Kalchasów i Barnuma. Mammonie, Mammonie, gdzie kres twojej władzy, gdzie twoje zachodzi słońce!..

Parafiańszczyzna.

Błąka się ona u nas jak widmo wciąż i wciąż, posiadając nawet *quasi* ucywilizowanych obrońców. Pisma doniosły, że na jednej z pensyj warszawskich uczennice odegrały jakąś sztuczkę w języku francuskim, odtańczyły menueta itp. Skąd ta francuzczyzna? Pytanie było proste, ale odpowiedź nieoczekiwana.

„Uczennice grały sztuczkę francuską — protestują obrońcy — tak, jak roku poprzedniego grały niemiecką — stąd do imputowanej chęci zastąpienia języka własnego francuzczyzną bardzo zda się daleko.“ Najpierw — logika. Pisma powstały na jeden grzech, na francuzczyznę; naiwni obrońcy na usprawiedliwienie przytaczają drugi. A wszystko to dzieje się „dla wprawy w językach, które, obok własnego, są bardzo potrzebne, a dziś, niestety, na ogół bardzo słabo znane.“ Pod tym protestem znajdujemy nazwiska aż trzech poetów polskich, walczących o uprawę języków obcych. Dla wprawy w językach! A czy przypadkiem wam, panowie poeci, nie przydałaby się wprawa w języku swojskim? Wam samym? Który to z was napisał: „cóż mi *symplistów* urągowiska?“ Albo: „czuję, jak *pełnią* moje szpiki żądze...“ Albo: „jak biją modre zdroje ku *absolutu* księżycowi...“ Albo: „I wszystko to, co się znajduje... pod mą duszą w twych *analogiach!*“ „Podobne *chorym* bez domu.“ Gramatyka, panowie! A dziś istotnie tylko parafiańscy „sympliści“ stają w obronie francuzczyzny, którą posiadł każdy szewc: dziś każdy ucywilizowany człowiek stara się oczyścić swą mowę z obcych naleciałości, aby nie była jako płaszcz dziadowski z pstrokacizną łat cudzoziemskich; dziś, jak sami twierdzicie, potrzebna nam kobieta-człowiek, a nie kobieta-lala; dziś każdy szanuje swój język, bo dusza jego tylko w tym języku objawiać się może — a wy poeci, wy szermierze cywilizacyi, wy raz jeszcze stajecie w obronie tej chińszczyzny? Czyż nadaremnie wołał ubóstwiany przez was wieszcz: „Pawiem narodów byłaś i papugą?“ Tak, ten Słowacki, którego nazwisko na sztandarze waszych dążeń przed innemi nazwiskami wypisujecie? Zaiste, wydaje się to dziś, w wieku kultury estetycznej, jakąś „fantazyą senną,“ jakimś sporem z przed ćwierćwieku, kiedy kraj nasz był Bułgaryą i kiedy rektor wszechnicy krakowskiej radził młodzieńcom wyjeżdżać za granicę „dla nabrania poloru...“

Parafiańszczyzno, wiedźmo, skąd ty rodem?
Czyś ty chorobą jest epidemiczną?
Skąd wracasz do nas? Co ci jest powodem,
Że teraz nawet dziatwę poetyczną
Zarażasz...

Ruskin.

Gdyby Anglik, wpatrzony w jedno z arcydzieł Louvru, kichnął i wyrzucił nozdrzami dwa strumienie funtów sterlingów, uwierzonoby temu w Europie dzięki pismom, które porobiłyby komiczne wzmianki o tem, jak Anglia w czasie wojny reklamuje swe finanse za pomocą podróżujących manekinów. Gdyby wszakże ogłoszono, że Louvre zwiedziło grono Anglików bez Baedeckera — nie uwierzonoby.

A jednak żył Anglik, który podróżował i patrzył na wszystko bez Baedeckera, żył długo i umarł śmiercią naturalną.

Księgarnia Allen'a ogłosiła wyjątki jego dzieł, zatwierdzone przez samego autora, a p. Lange przełożył niedawno część tych wyjątków na język polski. Ja, który Ruskina mało znam, patrzę na książeczkę pod tytułem „Malarstwo i poezya,“ jak na wiązkę próbek angielskich kortów: boję się ceny, a nie nie wiem, gdyż pokazują mi same skrawki... Z tego oto, w kratki, zrobiłbym gustowny krawat, z tego kokardę dla gospodarza odczytu na ociemniałych; spoglądam z trwogą na swoje podszarzałe ubranie i mówię uprzejmie:

— Przyjdę kiedyindziej.

Niektóre jednak pisma warszawskie lubią się drogo ubierać, a w braku gotowych sztuk, szyją sobie garnitury z próbek, a nawet wystarcza im skrawek wielkości dłoni za ubranie. Zdaje im się, że można wyjść kuso, ciasno i śmiesznie, byle z dobrej firmy. Liczą na modę, a więc: „Dziendobry,“ jak mawiał Ruskin, „dobranoc,“ jak mówił, kładąc się spać, Ruskin, „pracujcie,“ jak powiedział kiedyś Ruskin, i „dajcież pokój,“ jaka szkoda, że nie może Ruskin zawołać z grobu.

Powiadają znowu, że Ruskin pisał tak chaotycznie, tak często wpadał w sprzeczności i tyle rzeczy stworzył niezrozumiałych, że jak żaden autor, nadaje się najlepiej, ażeby go wydać w urywkach i w tak brutalny sposób zapoznać z nim ogół, który na kompletne tłomaczenie dzieł może czekać zbyt długo.

Zgoda, ale wyrwanemi z dyademu perłami nie należy się bawić nakształt dzieci, które je sobie nawet w noski pakują ku strapieniu nianiek i rodziców. Widzę niektórych redaktorów, jak zachodzą w głowę, dlaczego Ruskin na jednej stronicy nazywa malarza wielkim, a sztukę zbawieniem, a na drugiej wymyśla malarzowi, urąga sztuce. Jest na to sposób: w pismach pogodnie nastrojonych reklamuje się dobry humor Ruskina, w pismach zakłopotanych losem społeczeństwa widzimy sztachety pozawieszane drobiazgami, które wielki nieboszczyk wyrzucał z mieszkania.

Ileż w ten sposób cennych estetycznych wskazówek użyto zamiast wykałaczki po sutym obiedzie!

W rozdziałku: „umiarkowanie w kolorze“ powiada Ruskin co następuje: „Wielki malarz jest surowy i umiarkowany w pracy; żywy kolor kocha on z całego serca, ale dłuższy czas nie pozwala sobie na nic więcej, jak na poważną brunatność i łagodną zieleń: barwy, które pod jego władzą zdobywają niepojętą piękność; i wlawszy w nie całe życie i siłę, jakie mają — rozkoszuje się niemi do ostatka, ostrożnie i w końcu, jako na uwieńczenie dzieła — jako na zharmonizowanie jego melodyi — pozwalają sobie na nagły rzut karminu i lazuru — i nagle całe płótno staje w płomieniu!

Podobnież co do krzywizny, która stanowi źródło przyjemnego charakteru form; zły rysownik nie rozkoszuje się nią tak, jak dobry, ale używa jej do tyla, że się jego wzrok przesyci — i nie może osiągnąć jej miary, gdyż dusza jego zmęczona jest wdziękiem. Ale wielki i umiarkowany rysownik nie dopuszcza w swej pracy zbyt gwałtownych linij krzywych; robi

*) W poprzednim ciągu niniejszego artykułu zaszły następujące pomyłki drukarskie: 1) W tytule zamiast: Ideał *dobra* — ma być — *prawdy*. 2) Na str. 174 w I szpalcie w wierszu 13 od góry zamiast *miłością* ma być *małością*. 3) Na tejże str. i szpalcie w wierszu 22 od dołu zamiast *czynności* ma być *czynność*; w wierszu 17 od dołu zamiast *czynność* ma być *czynności*. 4) Na tejże str. szpalcie trzeciej, wierszu 25 zamiast *może* ma być *ma*

wiele za pomocą linij, w których krzywizna, choć istnieje, nie odrazu bywa dostrzegalna. Zatrzymuje się na tych ntajonych liniach krzywych do końca — i przeciwstawia im surowsze, aby uwidocznić łagodność tamtych. I w końcu — pozwala sobie na jednę — w mgnieniu oka stworzoną energiczną linię krzywą — i naraz całe dzieło staje się pełne życia i wdzięku."

A więc brunatno - zielone oblężenie muzy potem atak z karminu i lazuru a do tego znajomość krzywizny — i przepis na wielkiego artystę gotowy.

Co znaczy właściwie cały ten ustęp? Czy to sprawozdanie z większości obejrzanych galeryj? Nie. Czy to mówi Ruskin pedagog? Nie! Są to dwa płomyki stylowe, barwne i ciepłe. Na tej stronicy nie ma co naprzykrzać się Ruskinowi z prośbą o radę artystyczną, prosić o poprawienie podmalowanego obrazu, gdyż odepchnie natręta i trzęsący się starczą dłonią wskaże mu drzwi. Ten rozdział: „umiarkowanie w kolorze" nie należy do malarstwa, lecz do poezyi. Któż to jest ten okrzyczany Ruskin? I w tem ostatniem pytaniu kryje się jedyna wartość książeczki pod tytułem: „John Ruskin" Malarstwo i poezya. Ale jest obawa, że z legionu czytelników tłomaczenia p. Langego, zaledwie kilku zapozna się z dziełami Ruskina, reszta za przykładem pism zrobi sobie z „wyjątków" pstrokaty żagiel blagi, i będą ranty powtarzały rantom, że Ruskin każe malować naprzód: na szaro, potem karminem, a w końcu radzi zakręcić pędzlem, jak czterokonnym batem.



ZAGADKI ŚWIATA

II.

Dopóki mówi nam Haeckel o zasadniczych poglądach na jedność wszechświata, o podstawowym „prawie substancyi;" dopóki dowodzi zasadniczo, że dusza jest zjawiskiem natury, że nauka o jej przejawach, czyli psychologia winna stosować taką metodę badania, jak i inne nauki przyrodnicze, więc doświadczalną; dopóki wyznacza stanowisko psychologii w systemie nauk, jako części fizyologii; dopóki żąda stosowania w psychologii, również jak i w morfologii, zasadniczego prawa biogenetycznego (ontogeneza powtarza filogenezę, czyli że poszczególne stadya indywidualnego rozwoju osobnika są powtórzeniem historyi rozwoju rodowego) — można się z nim zgadzać lub nie zgadzać, lecz nie można w każdym razie odmawiać tym dowodzeniom charakteru naukowego.

Lecz tu jest granica, po za którą rozpoczyna się państwo spekulacyi i metafizyki, gdzie miejsce faktów zastępują abstrakcye, miejsce twierdzeń—paradoksy, a prawa logiki schylają czoła przed wymaganiami... dyalektyki.

Dusza, zarówno jak i ciało, podlega ciągłemu doskonaleniu i rozwojowi w szeregu form organicznych. Haeckel wyróżnia następujące główne stadya jej rozwoju filogenetycznego: 1) „dusza komórkowa," właściwa pierwotniakom, komórce jajowej i wszelkim tworom jednokomórkowym; 2) „dusza cenobialna," właściwa koloniom organizmów jednokomórkowych albo jajku zwierzęcemu w stadyum blastuli, składającemu się z licznych, lecz jeszcze niezróżnicowanych blastomer (komórek); 3) „dusza epitelialna," właściwa pierwszym zwierzętom wielokomórkowym (Metazoa); 4) dusza, właściwa organizmom, posiadającym system nerwowy na stadyum rozwoju, odpowiadającem robakom — itd., aż do szczebli najwyższych.

Punktem wyjścia jest tu „dusza komórki," której procesy psychiczne mają stanowić most, wiodący od zjawisk chemicznych natury nieożywionej do objawów życia duchowego wyższych zwierząt. Każda komórka żyjąca posiada pewne właściwości psychiczne; życie tedy duchowe każdego zwierzęcia lub rośliny nie przedstawia nic innego, jak tylko rezultat psychicznych funkcyj komórek, z których złożono jest jego ciało. Na stopniach najniższych wszystkie komórki organizmu mają jednakowy udział w jego czynnościach psychicznych; następnie wyróżniają się specyalne systematy „komórek psychicznych."

Zresztą, prosta „dusza komórki" już i wśród najniższych organizmów jednokomórkowych (pierwotniaków) wykazuje różne stopnie rozwoju. U jednych zdolność ruchu i wrażliwość są w jednakowym stopniu właściwe całej masie składającej komórkę protoplazmy. U innych wyróżniają się już pewne miejsca komórki, jako siedliska specyalnych czynności fizyologicznych — t. zw. „organella": nibynóżki, rzęsy migawkowe, biczyki i in.

Za mistyczny organ centralny komórki Haeckel uważa jądro komórkowe, „którego brak jeszcze organizmom najniższym i najpierwotniejszym."

To już jest prawdziwa metafizyka komórki. I ten monista, zwalczający myśl o wszelkiej „preformacyi" w rozwoju istot organicznych, porwany obecnie w wir ponętnych uogólnień schematycznych, pozornie wynikających ze stosowania powszechnego prawa biogenetycznego, usiłuje w prostej „duszy komórki" dopatrywać się jakby zmniejszonego w całości odbicia objawów życia duchowego istot wyższych, z zaczątkami mocno rozwiniętych na dalszych stopniach czynności fizyologicznych, a nawet z organem centralnym! Czyż istotnie, to pierwsze budzenie się ducha, to przejście od przyrody martwej do ożywczej, ten niezłożony świat psychiczny komórki ma już posiadać koniecznie „organy centralne," dlatego że coś podobnego upatrujemy we własnej organizacyi?

Pierwsze organizmy — czytamy w dalszym ciągu — posiadać musiały „duszę roślinną," opartą na właściwym organizmom roślinnym procesie przemiany materyi, umożliwiającym tworzenie materyi organicznej wprost z pierwiastków nieorganicznych. Dopiero później rozwinęły się „prazwierzęta" czyli „plazmofagi" — organizmy, żywiące się już materyą organiczną. Ważna ta reforma przemiany materyi była wielkim krokiem na drodze ku udoskonaleniom, które wytworzyły tak znaczną wyższość duszy zwierzęcej nad roślinną.

Co się tyczy świadomości duszy (wogóle), autor przytacza lub rozbiera cały szereg najdziwaczniejszych hypotez. Więc przedewszystkiem wypowiada się kategorycznie przeciwko „antropistycznej teoryi świadomości," przypisującej tę czynność psychiczną li tylko duszy ludzkiej; zwalcza też „teoryę neurologiczną," według której świadomość ma stanowić właściwość jedynie wyższych zwierząt, posiadających bardziej złożony system nerwowy; odrzuca „teoryę animalistyczną," przyznającą świadomość tylko przedstawicielom świata zwierzęcego i negującą istnienie jej u roślin; poddaje rozbiorowi „teoryę biologiczną," według której świadomość jest właściwa bez wyjątku wszystkim organizmom żyjącym; tej ostatniej broni w zasadzie — argumentem zaranie paradoksalnym, jak i naiwnym: „istotnie, wszak ruchy liści u roślin wrażliwych, jak czułek (Mimosa), rosiczka (Drosera) lub mucholówka (Dionaea), albo też zjawiska t. zw. „snu roślin" u koniczyny, szczawika i w. in. są uderzająco podobne do odpowiednich ruchów zwierząt niższych: kto przypisuje świadomość tym ostatnim, nie ma prawa odmawiać jej też i pierwszym."

W dalszym ciągu porusza też bardzo niezrozumiałą „komórkową teoryę świadomości," która uważa tę czynność psychiczną za stałą właściwość każdej komórki i na której stronę zdają się najwięcej skłaniać jego sympatye — oraz w końcu jeszcze mniej zrozumiałą i jeszcze bardziej metafizyczną „atomistyczną teoryę świadomości"; ta ostatnia posuwa się tak daleko, iż przyznaje świadomość wszystkim atomom (!). Trzeba wszakże zaznaczyć, że sam Haeckel zastrzega się, iż do „teoryi" (!) tej nigdy nie miał wielkiego przekonania.

Gdybyśmy chcieli wydzielić z tego wszystkiego zasadniczy pogląd na istotę świadomości, to, trzymając się granic, o których wyżej już mówiliśmy, moglibyśmy tak go streścić: istota świadomości należy nie do zagadnień transcendentnych, lecz czysto fizyologicznych, stanowi bowiem, zarówno jak i wszelkie inne czynności „duszy," jedno ze zjawisk natury; do badania jej należy tedy taką metodę stosować, z jakiej pomocą rozwiązujemy wszelkie zagadnienia z dziedziny fizyki i chemii.

Gdyby Haeckel tem się ograniczył i w takiej postaci wygłosił swój pogląd *ogólny* na istotę świadomości, to, jakkolwiek pozbawiony danych realnych i przekonywających, lecz tylko wyprowadzony konsekwentnie z założeń ogólnych, miałby jeszcze do pewnego stopnia charakter przypuszczenia naukowego. W rozdziałach, stanowiących treść części kosmologicznej, grunt realny rozumowań zatraca się jeszcze coraz bardziej. Bo gdy autor rozwodzi się o woli substancyi, zaznaczając w nawiasie, iż jest to wola najniższego stopnia *(natürlich niedersten Grades!)*, lub też dowodzi konieczności istnienia eteru: „przynajmniej w mojem pojęciu eter również napewno istnieje, jak masa: również napewno, jak ja sam, kiedy o tem myślę i piszę. Jak o istnieniu materyi ważkiej przekonywamy się z pomocą miary i wagi, na drodze doświadczeń chemicznych i fizycznych, tak o istnieniu nieważkiego eteru przekonać się możemy na drodze doświadczeń optycznych i elektrycznych..."— to są już nie dociekania naukowe, jeno paradoksy i na zasadzie sylogizmów wyprowadzone wnioski dyalektyczne. Zresztą, w danym razie niema nawet i konsekwencyi zewnętrznej, bo gdy się z jednej strony przeciwstawia materyę ważką i nieważką, nie wolno z drugiej strony przeciwstawiać doświadczeń fizycznych i chemicznych doświadczeniom elektrycznym i optycznym, ponieważ te ostatnie należą właśnie do rzędu tych samych fizycznych.

„Monizm zadawala nietylko potrzeby rozumu, lecz i uczucia, zawiera tedy pierwiastki nauki i religii": a „współczesna wiedza przyrodnicza ma za zadanie nietylko zniszczyć wyniosły gmach przesądów, lecz na oczyszczonem od jego szczątków miejscu wznieść nowy gmach dla duszy ludzkiej: pałac rozumu, abyśmy w nim ze stanowiska monistycznego poglądu na świat czcili prawdziwą trójcę XIX stulecia: *prawdę, dobro i piękno.*"

Do ideału pierwszego—głosi w dalszym ciągu Haeckel — zbliżamy się przez pełne miłości badanie przyrody i jej praw wielkich, przez obserwowanie z pomocą teleskopu nieskończonych przestrzeni światów słońc i gwiazd, a z pomocą mikroskopu — nieskończenie małego świata komórki. Monistyczny ideał dobra i cnoty odpowiada w głównych zarysach czystym ideałom cnoty chrześciańskiej; tylko ideały piękna są inne, bo monizm nie każe negować „życia doczesnego" i odwracać się od jego rozkoszy, jeno dąży do wszystkiego pięknego, co płynie z wielkiego źródła harmonii przyrody.

Takie jest wyznanie „wiary monistycznej,“ na którego czele autor umieścił słowa Goethego:

Wer Wissenschaft und Kunst besitzt,
Der *hat* auch Religion:
Wer diese beiden nicht besitzt,
Der *habe* *) Religion.

Co się tyczy haseł etycznych, Haeckel podnosi przedewszystkiem jedną stronę współczesnej wiedzy przyrodniczej, która wykazuje, że „poczucie obowiązku“ człowieka polega nie na jakiemś iluzyjnem *imperatiwum*, lecz opiera się na realnej podstawie instynktów społecznych, które właściwe są wszystkim istotom towarzyskim. Najwyższym celem etyki monistycznej jest — pisze Haeckel — wytworzenie harmonii między egoizmem a altruizmem: jednostka, która ma i chce być pożyteczną dla ogółu, nie powinna wyzbywać się pewnego egoizmu, musi pamiętać i dbać o siebie — i nikt nie ma prawa jej tego zabraniać: chodzi tylko o wytworzenie harmonii między uczuciem miłości bliźniego a egoizmem. Pod tym względem etyka monistyczna różni się zasadniczo od innych, które wymagają od jednostki zupełnego negowania potrzeb własnych i wyłącznego oddania się miłości bliźniego.

(D. n.).

Edward Strumpf.

*) Tłom. przez: „...ludzi się, że posiada...“

LITERATURA I SZTUKA.

Styl zakopiański i „sposób zakopański.“

W ostatnich dniach, (z powodu projektowanego pawilonu przemysłu artystycznego Galicyi na wystawie paryskiej), prasa lwowska, wypisując hymny na cześć p. Kowats'a i jego „sposobu,“ zawadziła niespodziewanie o „styl“ zakopiański. Powstał zamęt, posypały się polemiki. W powodzi głębokich „myśli“ o przyszłości „sposobu“ wypłynęły dwa kierunki artystyczne tak odmienne, jak kolor biały i czarny.

Ciekawy to skrawek ziemi — Podhale z jego cudną przyrodą, z jego ludem i głuchą przeszłością. Lasy świerkowe i ogromne „pustacie“ ze smużkami błękitnych dymów, szare, granitowe turnie, wysoko strzelające w przezrocze, sine regle, smereki i śliczne olchy, przeglądające się w dzikich strumieniach — to przyroda. Na jej tle stoją w cieniu jesionów i jaworów liczne zagrody góralskie, gdzie kryją się dziwne sprzęty i tkaniny oryginalnie zdobione. Założona w takiej okolicy szkoła rzeźbiarska (w r. 1876) pozostała głuchą i ślepą na otoczenie, a jednak nie zniszczyła twórczości góralskiej, nie zastąpiła jej szarotkami tyrolskiemi i cackami przemysłu wiedeńskiego. Dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, góralszczyzna ocalała i jest dziś źródłem, z którego wypływa sztuka rodzima. W tych ornamentach naiwnych i szczerych, w tych góralskich chatach i sprzętach tkwi skarbnica motywów, tkwi w zarodku *styl* oryginalny. W r. 1886 pp. Dembowscy i p. Stanisław Witkiewicz, zwiedzając chaty góralskie, zwrócili uwagę na ten lud dziwnie artystyczny, na jego sprzęty i naczynia, na tkaniny i ubrania, na fantazyjną ornamentykę, wreszcie na bardzo oryginalne budownictwo. Zainteresowano się wówczas szkołą rzeźbiarską i zawiązano stosunki z dyrektorem, namawiając go, by zbierał wzory góralskie i zużytkował je w szkole. Ale dyrektor-cudzoziemiec (p. Neužil) mawiał:

— To jest chłopski motyw i *zu bisantinisch*...

Pozostawiono tedy szkołę w spokoju z jej tyrolszczyzną i szarotkami. Odtąd zaczęto zbierać po chatach czerpaki i bogato zdobione łyżniki, wzory ornamentów powlekających suknie i sosręby, odrysowywano sanki i stoły, gromadzono talerze, dzbany, spinki, pasy itd., słowem czyniono to, co gdzieindziej przeprowadzają instytucye krajowe, jak np. w Szwecyi *Nordiska Museum*. Wtedy także ocalono przed zagładą naiwnie sklecone figurynki świętych, przypominające posążki buddyjskie. Tym sposobem powstały zbiory folklorystyczne pp. Dembowskich, Gnatowskiego i hr. Adama Krasińskiego. S. Witkiewicz całą uwagę zwrócił na chatę góralską. Pokazało się, że chata, zbudowana według stałych zasad, według pewnych niezmiennych stosunków i tych samych proporcyj w dachu, posiada szczególne „pasy“ w odrzwiach łukowatych, zdobnych bogato kołkami, oraz pazdury i szczyty łamane. Tę prostą i naiwną chatę góralską znakomity artysta zaczął rozwijać, rozszerzać, zdobić jej własnymi motywami i utworzył owe prześliczne budowle, które już nietylko w Zakopanem widzieć można. Zczasem z motywów ludowych góralskich wysnuto ołtarze, cały zastęp sprzętów, jak talerze, filiżanki, noże, półeczki, wreszcie dywany. Gwiazdy na sosrębach i sosrębikach, parzenice zdobne niespodzianymi krzyżykami swastyki, kluje i szlaczki łyżników stały się źródłem zdobnictwa, do którego Witkiewicz dodał tatrzańskie motywy roślinne, jak blade osty, paproć i kosówkę, mak halny, fiołkowy jaślinek, limby i przecudowne brudno-purpurowo, ciemno-pręgowane złotogłowy zawojce. Tak powstał na motywach ludowych oparty, z tych motywów logicznie wysnuty swojski i absolutnie oryginalny *styl zakopiański*.

Pp. Dembowscy, p. Raczyńska, Potkański, Gnatowski, Matlakowski i Witkiewicz — oto są nazwiska ludzi, którym styl zawdzięcza początek, a góralszczyzna ocalenie przed zalewem szarotek szkolnych, oraz wiedeńskiej *secesyi*.

O początkach stylu pisał Witkiewicz w „Sztuce i krytyce,“ o budownictwie podhalańskiem pisał dr. Wł. Matlakowski (*Budownictwo ludowe na Podhalu*. Wydaw. Akademii Umiejęt. w Krakowie 1893. Folio). Dr. Matlakowski opracował również ornamentykę, od lat pięciu czekającą na wydanie przez dr. Peszkego z Warszawy. W tym czasie szkoła rzeźbiarska wcale się otoczeniem swojem nie interesowała. Kiedy zaczęto mówić o stylu zakopiańskim, p. Raczyńska zamówiła w szkole trochę mebli, które miały być wykonane według rysunków p. Andrzejkowiczówny. Były w rysunkach tych braki; oparte na zbyt małej ilości wzorów, nie oddawały logiki architektonicznej, właściwej góralszczyźnie, która jest cechą przewodnią stylu. Ornamentyka za to była w całem znaczeniu tego wyrazu—stosowaną. Część tych mebli zwróciła uwagę Wiednia i wtedy szkoła otrzymała odpowiednie instrukcye.

Wówczas rozpoczęła się nowa era tego stylu, który dziś, ochrzczony dziwacznem przezwiskiem *sposobu*, będzie reprezentowany na wystawie paryskiej w galicyjskim pawilonie artystycznym. Instrukcya ministeryalna była powodem wkroczenia wzgardzonej góralszczyzny do szkoły rzeźbiarskiej. Nie jest to jednak góralszczyzna z chat, ani ze zbiorów folklorystycznych, lecz góralszczyzna z rysunków p. Andrzejkowiczówny. Rysunki te stały się pierwowzorem całej działalności szkolnej. Przerabiano je dowolnie, rozwijano i oddalano się od nich coraz bardziej. W pierwotnych rysunkach były tafle prostokątne, staciwy i denka, (filunele i fryz stolarski), wpuszczone w szafy i łóżka. Na nich nacinano ornamenty góralskie i napuszczano je bladą czerwienią i zielenią taką tylko bowiem była polichromia góralska. Szkoła idzie dalej. Na taflach jasnożółtych barwi nacięte ornamenty karminem, błękitem i farbami pstremi. Dołączono następnie jakieś brunatne linijki, złocone i srebrzone słońca i księżyce, kratki, koronki, i pstre plamki, istotnie, według zdania Zacharyewicza, „bizantynizmy“. „Pasy“, które są częścią odrzwiów góralskich i konstrukcyjnie stanowią z nimi całość, wyodrębniono i przyczepiono, jako jakieś luźne, wypukłe plastry. Motywy góralskie dodawano wszędzie, gdzie się tylko dało. A więc przyczepiano je do renesansu, do talerzy bizantyńskich, do włoskich łóżek i olbrzymich kredensów. Tym sposobem powstała mieszanina stylów, coś włosko-bizantyńsko-góralskiego, jakiś zlepek dziwaczny wszystkich stylów od żydowskiego do staroniemieckiego, jakaś pstrocizna, w którą wtłoczono góralskie kluje, tatrzańskie osty i szlaki z łyżników. P. Neužil, *écartons l'art*, był zresztą dobrym administratorem i zasługi jego we względzie organizacyi szkoły są ogromne. On to ją właściwie postawił na nogi i dał tę szeroką podstawę materyalną, jaką dziś posiada. Po śmierci p. Neužila został (w r. 1895) jego pomocnik, p. Kovats z Wiednia, dyrektorem szkoły. Znalazł w szkole ów zlepek dziwaczny, bogaty w pstrociznę, a samą szkołę materyalnie świetnie stojącą. Po za szkołą zastał tysiączne przedmioty w stylu zakopiańskim od ołtarzy do pałaców, bogate zbiory folklorystyczne i ludzi życzliwych, którym styl leży na sercu. Cóż przedsięwziął nowy dyrektor? Z początku gardził stylem neužilowskim i całą robotą szkolną. Ale opinia publiczna coraz bardziej interesowała się góralszczyzną, a nowy dyrektor musiał opinii ulegać. Oprócz tego trwała w swej mocy dawna instrukcya ministeryalna. Będąc barokistą do szpiku kości, p. Kovats nie uznawał potrzeby wskrzeszania nowych stylów, tem bardziej z najnowszych motywów podhalskich. Z musu tylko postanowił wysnuć coś, coby z jednej strony imponowało panom z Wiednia, z drugiej —dawało należne miejsce boskiemu barokowi i znanym stylom, a zarazem coś, w czem pływałaby owa góralszczyzna. Dla uniknięcia kompromitacyi wygodniej było całą tę robotę nazwać nie stylem, lecz *sposobem* (*Art*).

Jąwszy się po chwilowej pogardzie dziwacznego zlepka szkolnego, p. Kovats tworzy pstrociznę, która nie jest nawet dalszym ciągiem, lecz wiernem odbiciem tego, co zastał. Dodaje tylko złoto, bławatków i kilka ptaków domowych: To cały jego dorobek.

Na barokowych, brunatnych kolumienkach suto złocone parzenice góralskie i laski złocistego świerku. W tem wszystkiem krokszteny z akantusów korynckich. Na kapitelu przewrócone do góry brzuszkiem leżą złote kluje i po dwa kołki w każdą stronę świata. Kiepsko stylizowane gencyany, bławatki białe, różowe i błękitne, kogucik zdobny koroną, albo nawet dwa koguciki, podobne zdala do orła heraldycznego... Pawie piórka fioletowo-karminowe, indyk i indyczka w baroku pospołu z ostami tatrzańskimi... Cały tedy dorobek p. Kovats'a to barok złocony bardzo suto, ukoronowany kogucik, różnokolorowe bławatki, indyk i indyczka, oraz pstre pawie piórka. Wyrazem tego dorobku jest księga p. t. *sposób zakopański*, gdzie czytamy:

„U stóp Tatr, w malowniczo położonej miejscowości Zakopanego i jego okolicy zastałem na licznych domach i sprzętach upiększenia, którym wysoki stopień odrębności przyznać należy. Nie badając kwestyi, czy te upiększenia pochodzą od mającego tu niegdyś przebywać ludu, czy to zabytki dawniejszej polskiej sztuki,

które przechowywały się tu w górskiem ustroniu i teraz znowu do kraju wracają, czy wreszcie mam do czynienia z samorodnem dziełem górali, zebrałem starsze elementy upiększeń tak, jak je widzę i sprobowałem tworzyć nimi w kierunku dekoratywnym, co przedstawia następujących 24 tablic".

W całem dziele nie znajdujemy ani jednej wzmianki, że przed p. Kovats'em wszystko to już było w szkole, z wyjątkiem złota i wymienionych ptaków. Takim jest ów *sposób*, jego dzieje i etyka.

Smaku artystycznego nie ujmie ani recepta, ani nie skrystalizuje jakakolwiek reguła. Dla tego też podoba się ludziom i *styl i sposób*. Widać to w kościele zakopiańskim, gdzie stoją ołtarze obu kierunków. Są ludzie, którym złoto, barokowe kolumienki i pełne złocistych parzenic ołtarze kowaczowskie imponują. Są inni, dla których są wstrętne. Ostatnim podoba się prosty a jednolity ołtarz Matki Boskiej Różańcowej z pysznymi lichtarzami, ze złotogłowiem zawojcem i kosówką. Ci odnajdują w tych kształtach i liniach coś swojskiego, co spotykali między ludem. Odczuwają w tym stylu, zrodzonym z motywów prostych, naiwnych, ludowych duszę słowiańską, którą oddał Chopin, Mickiewicz i Chełmoński, a która całe jeszcze światy w sobie zawiera. Motywy ludowe góralskie są to przed zgorzeliną wieków ocalałe pierwiastki artyzmu staro-polskiego. W tej chacie z pazdurem i odrzwiami zachował się staropiastowski typ budowania, w dziwnej gwarze góralskiej język XV wieku. Tu, na zapadłem Podhalu przetrwały to pierwiastki w ciągu stuleci. Ominęły je fale kultury. idącej z Zachodu. W Krakowie, we Lwowie i Sandomierzu odnajdują dziś w starych domach sosręby ze zbójnickiemi gwiazdami, w Bytomiu na Szlązku góralskie odrzwia z psami i kołkami, w miasteczku Czeladzi—pazdury i szczyty góralskie. Z dniem każdym ukazują się nowe cmentarzyska, ukryte i stłumione przez gotyk i style włoskie. Dlatego też miał prawo Witkiewicz napisać: „to, co dokonało się w Zakopanem, jest tylko odrodzeniem."

Dziwne są dzieje tego odrodzenia. W chwili, gdy cały Zachód ugania się gorączkowo za nową sztuką i wielkim stylem, w chwili gdy europejski przemysł artystyczny wzoruje się na murzynach i Japończykach, w chwili gdy dekoracyjny prerafaelityzm i „secession" wdzierają się do salonów i pałaców cesarskich, u nas rodzi się sztuka rodzima, budzi się „uśpiona królewna".

Budowle w stylu zakopiańskim idą w świat i zdobywają posterunki dalekie nie tylko w kraju, ale nawet w Saskiej Szwajcaryi i nad jeziorem Gmunden w Alpach. Słynne fabryki w Sevres wyrabiają filiżanki, wzorowane na czerpakach, warszawska firma Kerntopf—fortepiany z półeczkami w tym stylu. Może nareszcie i społeczeństwo zwróci nań uwagę.

Mieczysław Wincenty Limanowski.

SPRAWY EKONOMICZNE

RURAL EXODUS.

II.

Co właściwie oznacza prośba o zamknięcie granicy? Ci, którzy z żądaniem tej treści występowali, nie zdawali sobie niewątpliwie sprawy z natury i charakteru swojego pomysłu. Pozostawmy na uboczu względy moralne: żądanie takie wypływa z egoizmu, z chciwości, więc próżno tam mówić coś o względach moralnych. Ale pozostają inne czynniki, prawne przedewszystkiem. Mości panowie, zapomnieliście, że kodeksy współczesne, bez względu na to, pod jakim stopniem szerokości geograficznej na świat przyszły, nie znają już instytucyi niewolnictwa i ograniczać woli ludzkiej w takim sensie i kierunku nie pozwalają. Zamyka się granicę przed dżumą, przed wrogiem, ale przed człowiekiem, który nic gorszego nie popełnił, jak tylko to, że chce żyć i pracować — proszę bardzo! To raz. A dalej uznają prawodawcy, jako kardynalną zasadę, równość wszystkich przed prawem: niemasz w sądzie ani szlachcica, ani chłopa, ani żyda, jest zaś tam tylko: „powód," „pozwany," „świadek," „oskarżony." To dwa.

Z zasadniczych tedy względów każde takie żądanie spotkać się musi z kategoryczną odmową. I tylko z tytułu specyalnych, administracyjnych, czasowo tylko i lokalnie działających przepisów— można w niezmiernie małej zaledwie części oczekiwać spełnienia swoich nadziei. A jak ponure światło na układ stosunków wewnętrznych rzucać musi taka procedura— o tem nawet pisać nie trzeba!

Przypuśćmy jednak, że istotnie granicę chwilowo, na mocy tak lub inaczej zdobytego przepisu — zamknięto. Każdy rozsądny człowiek zrozumie, że położenie nie zmieniło się ani na odrobinę. Przypomnijmy sobie tylko dobrze znany, często widywany, opisywany obraz wiosennych wylewów rzek: jak to one z brzegów występują, jak mosty żelazne znoszą i jak najmocniejsze groble przerywają: woda potrafi najdrobniejsze, dla oka ludzkiego niedostępne szczeliny wynaleźć, przez nie popłynąć, a raz przedostawszy się, prędzej czy później, cały w groblach nagromadzony ogrom pracy ludzkiej zniszczyć bez litości. I tak zupełnie ma się z każdym ruchem społecznym. I dlatego żaden mądry prawodawca nie wyda przepisu, o którym wie, a przynajmniej wiedzieć powinien, że umysł ludzki tysiączne drogi odnajdzie, aby najmisterniejszą tkankę prawną w niwecz obrócić i „na swojem postawić." Ale na tem nie koniec. Czyż dla rolników groźnem jest wychodźtwo do Prus tylko? A migracye *wewnętrzne*, a wielkie miasta, a środowiska fabryczne, owe wielkie magnesy, ściągające zewsząd i inteligencyę, i szlachtę — i chłopa? W takim tedy razie następny etap pożądliwości wskaże z konsekwencyą logiczną, jako cel drugi, zamknięcie rogatek Warszawy, Łodzi. Sosnowca, Będzina, Radomia itd. — połowy co najmniej wszystkich miast większych i mniejszych, osad itd.

Widzimy, że to tylko chochlik złośliwy podpowiedział projektodawcom żarcik okolicznościowy. Ale może i nie chochlik. Ludzie wogóle mało myślą i niezmiernie mało wiedzą. Gdyby bowiem zechcieli zastanowić się nad istotą tego ruchu społecznego a zapytali się o radę nauki, toby dowiedzieli się przedewszystkiem, że ten ruch emigracyjny nie jest wcale jakąś osobliwością naszego kraju, ale że zaczął się on stosunkowo dawno, że rozpalił się naprzód w Anglii, a następnie dopiero przeszedł na kontynent, ogarnął całe Niemcy, a dając tam początek o wiele gorszym, niż u nas, jak dotychczas, stosunkom, stworzył „obieżysastwo" i zaostrzył antagonizmy społeczne; z Niemiec zaś dopiero z biegiem czasu przedostał się do nas. A, powtórę, dowiedziećby się mogli, że złorzecząc i plwając, sobie nie ulżą. Często słyszymy i czytamy w „korespondencyach ziemiańskich," że to tylko lenistwo i żądza łatwego zarobku pcha wieśniaka naszego w objęcia emigracyi. Proszę. To znaczy, że „na Hanowrach" pracować nie trzeba? Czy nie wiecie, że chłop nasz, żywiąc się ziemniakami, pracuje za dwóch, trzech, aby tylko „odłożyć," że poniewierają nim śród Niemców na obieżysastwie, nie dając ani uczciwego schronienia, ani łóżka, zmuszając niemal kobiety i mężczyzn do wspólnego pod jednym dachem noclegu *). A Brazylia? Juzeście zapomnieli opisów Dygasińskiego, Hempla, ks. Chełmickiego? A czy robotnik nasz z Rypińskiego i Sierpskiego, emigrujący czasowo do Stanów Zjednoczonych, nie musi ciężej pracować, niż w domu, jeśli chce tę samą płacę otrzymać, którą pobiera robotnik amerykański, lepiej i to w ciągu kilku pokoleń żywiony, bardziej wykształcony i sprawny?

Więc to nie żądza łatwego zarobku pcha naszego Maćka w obce strony, tylko inne, głębsze oczywiście, przyczyny. I pod tym znowu względem znajdziemy odpowiednie wskazówki w nauce społecznej. Oto — u spodu, w podłożu wszystkich ruchów społecznych, nurtujących nasz koniec stulecia leży coraz bardziej świadome dążenie mas ludowych do większej niezależności i samodzielności, dążenie do zajęcia wyższego stanowiska społecznego, chęć wzbudzenia szacunku dla własnej osoby. Ideały godności ludzkiej, panujące na Zachodzie od czasów Odrodzenia, zapuściły głęboko korzenie w sferach inteligentnych grup ludności i stały się tam stałym inwentarzem, dziedzictwem, które przechodzi od jednego pokolenia do drugiego. Dziś te ideały, poczucie tych praw, przekroczyło linię demarkacyjną pewnej, jednej tylko sfery i przedostaje się do innych, obejmuje coraz to szersze kręgi, entuzyazmując masy ludowe. Takie oto dążenie wyludnia powoli wieś, ogałaca ją ze wszystkich energiczniejszych i lepszych pierwiastków, pozostawiając tylko baby niedołężne, dzieci, starców i kaleki. Zamknięci w pewnych przestrzennych granicach pędzą rolnicy wiejscy możliwie zależny rodzaj życia; cały ich czas i cała ich *siła* robocza, ba! cała niemal siła do pracy ich rodzin, znajduje się w służbie *obcej*. Jeżeli w organizacyi pracy na wsi istnieje pewna drabina dostojeństw: od gęsiarza do świniopasa, od posyłki do parobka, od włodarza do ekonoma, to na tym ostatnim szczeblu kończy się drabina i koło się zamyka. Zrzadka i to tylko dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności zdarza się możliwość zaoszczędzenia pewnej sumy pieniędzy i zakupu własnego kawałka ziemi, przydzierżawienia sąsiedniego pola, zdobycia po wieloletniej piekielnej pracy cienia niezależności.

I dlatego też sprawy kolonizacyjne tak pierwszorzędną odgrywają dziś rolę wszędzie — na Zachodzie i u nas. Ale ludzie, przedewszystkiem zainteresowani, mało o tem myślą zapewne dlatego, że to jest tak proste i tak zupełnie jasne. Zamiast własną pracą i własną „samopomocą" budować systemat środków, któreby u korzenia samego prąd wychodźczy podcięły, wolimy oddawać się próżnym żalom i „zapoczątkowywać działalność prawodawczą. Oczywiście, są jeszcze ludzie na świecie, którzy spodziewają się, że tłukąc wodę w moździerzu, zbudują coś stałego...

Jest to dla nas najzupełniej pewnem, że tylko działalność ludzka, w danym razie działalność obywatelska, która z momentów psychicznej i moralnej natury wyjdzie, jako z ogniska fizycznego i wzdłuż promieni, ognisko to tworzących, pójdzie, że tylko taka działalność doprowadzić może do rezultatu dodatniego. Nie kręci się

*) Posiadam pod tym względem wiele danych autentycznych; zawdzięczam je obserwacyi przyjaciela Niemca, który pracował przez lat kilka w charakterze lekarza w pewnej wielkiej cukrowni w Ks. Meklemburskiem i obserwował wychodźców na plantacyach buraków. Ogłoszę je też kiedybądź, aczkolwiek trzeba zaznaczyć, że stosunki zmieniły się w ostatnich kilku latach na lepsze. Obieżysasi mniej się dziś skarżą na los swój w Niemczech.

bieża z piasku, ani nie buduje stodoły na jeziorze. Tylko przekonanie, że działalność społeczna, jak wszelka moralność, wyrastać może na poświęceniu i ofiarności, stworzy na wsi nową, duchem tegoczesnej cywilizacyi owianą organizacyę pracy. *In hoc signo vincentis!* Pod tym znakiem mogą rolnicy zwyciężyć.

* * *

Tak oto przedstawia się w trzech opowiedziana słowach teoretyczna strona kwestyi: zarówno teorya pomysłu pana Wodzyńskiego, jak i sylogizm wychodźtwa. Zjawiska społeczne są zazwyczaj niezmiernie złożone; *monistycznie* je objaśniać, za pomocą jednego jakiegokolwiekbądź kaganka oświetlać — rzecz to niepewna, niedoskonała tylko owoce rokująca metoda. I dlatego też nie mieliśmy na celu zbudowania całkowitego łańcucha przyczyn i skutków emigracyi robotnika wiejskiego, jej rozwojowych, a więc przyczynowo pojmowanych dziejów, ile raczej, chodziło nam o podmalowanie tła, o rozrzucenie cieniów, tak aby samo zjawisko społeczne, sylwetka historyczno-psychologiczna wychodźcy uwypukliła się z dostateczną siłą i pozwoliła zrozumieć przynajmniej, o co nam chodzić powinno. Nie uznajemy atoli pomimo tej zasadniczej skromności żadnej w tym wypadku tolerancyi. Tylko w granicach przez nas wskazanych, tylko u tych drogowskazów, które według nas zostawia nie nasza niepewna i niepewności świadoma ręka, ale—rozum człowieka. I dlatego też nie umielibyśmy na powyższych wywodach zatrzymać się. Wyrządzilibyśmy krzywdę światu rolników, gdybyśmy wysunęli na plan pierwszy głos pana Wodzyńskiego, a inne odmiennego charakteru głosy pozostawili w cieniu. Obiecaliśmy, co więcej, w zakończeniu poprzedniego artykuły, że zapoznamy czytelnika ze zbiorowym chórem projektów rolniczych, tak lub inaczej rozprawiających się z kwestyą wychodźczą. Uczynimy to niebawem. Że jednak ... *ist jede Theorie*, tedy nie ograniczymy się do wskazówek teoretycznych w powyższych uwagach naszych zawartych, lecz postaramy się wskazać, co w granicach warunków obecnych uczynić nam wypada, można albo i koniecznie należy, aby ostre brzegi tego nowego dla nieprzystosowanej natury stosunków wiejskich zjawiska — zrównać, silnie zarysowujące się antagonizmy osłabić. Będą to czysto praktyczne wskazówki z doświadczenia naszych rolników, albo z przykładu zachodnio-europejskiego czerpane. Jeszcze jesteśmy krajem rolniczym: wszystko tedy, co dotyczy wsi i jej potrzeb, przechodzi miarę interesów osobistych jednej tylko sfery ludności, lokalnych w znaczeniu przestrzennem. Interesy te z klasowych, parafiańskich, partykularystycznych wyrastają na wszechkrajowe, zatracają swój podmiotowy charakter, przybierają cechy jakichś czynników życia ogólnie zbiorowego. I dla tych właśnie niezmiernie poważnych powodów pomówimy o środkach szczegółowych walki z wychodźtwem w artykułach następnych.

Zen. Por.

O prawdę.

Wodociągi lubelskie.

Z powodu artykułu w nr. 11 *Prawdy* p. t. „Gospodarka miast," otrzymaliśmy dwa listy. Jeden z nich, od zarządu wodociągów lubelskich, zamieszczamy w całości. Z drugiego, od p. Fajansa, podajemy jedynie część dotyczącą obrony własnej, gdyż reszta jest powtórzeniem treści listu zarządu, z dodatkiem wycieczek osobistych.

Szanowny Panie Redaktorze!

W nr. 11 *Prawdy* w artykule p. t. „Gospodarka miast" p. P. mówi, że w Stowarzyszeniu techników warszawskich zsumowano „te same zarzuty," o których autor mówi w początku swego artykułu, „które były tem ostrzejsze i jaskrawsze, że wszystkie pochodziły od specyalistów dokładnie obeznanych z budową wodociągów lubelskich."

Zarząd wodociągów lubelskich ma zaszczyt najuprzejmiej prosić Szanownego Pana o zamieszczenie następującego sprostowania.

W Stowarzyszeniu techników wszystkie zarzuty, o których wyżej mowa, pochodziły wyłącznie od jednego p. Kotarskiego, członka delegowanej komisyi. Wszyscy inni obecni, zabierający głos, odpierali właśnie zarzuty p. Kotarskiego i dowodzili kunsztowności jego teoryi, w końcu sam p. Kotarski wypowiedział, iż woda jest dobrą, temu nie przeczy, ale nie może ręczyć, że ona zczasem będzie dobrą. Na wzmiankowanem zebraniu Stow. tech. ani właściciel koncesyi, ani żaden z jej współwłaścicieli nie był obecnym, nikt więc z nich nie mógł występować „w obronie gospodarki."

Jakość wody z wodociągów lubelskich udowodniono przez 50 analiz chemiczno-bakteryologicznych, wykonanych w laboratoryach uniwersytetu warszawskiego, Towarzystwa farmaceutycznego i miejskiego lubelskiego; wszystkie te analizy stwierdzają, że woda z wodociągów lubelskich jest zupełnie zdatną do wewnętrznego użycia, a inżenier Słowikowski po rozejrzeniu tych analiz na temże posiedzeniu w Stow. tech. powinszował Lublinowi, że ma wodę odpowiadającą tym warunkom, co analizy wskazują.

Kwestyę wyboru wody dla wodociągów lubelskich, podług § 2 koncesyi, decyduje w ostatecznej formie nie ministeryum spraw wewnętrznych, lecz magistrat m. Lublina, który też na zasadzie badań specyalistów wydał stosowną decyzyę o czerpaniu wody z tych właśnie źródeł, z których obecnie wodociągi pompują. Tę decyzyę zatwierdził także rząd gubernialny i polecił magistratowi, aby ten pilnował wykonania budowy podług owej decyzyi. Przedsiębiorca więc wykonał właśnie to, czego od niego oczekiwano.

Warunki koncesyi wodociągów dla Lublina są znacznie mniej uciążliwe dla mieszkańców, niż warunki dla innych miast prowincyonalnych, jak się łatwo przekonać można z ich porównania. Warunki te przed zatwierdzeniem ich przez władzę najwyższą, były rozpatrywane przez lubelski rząd gubernialny, kancelaryę generał-gubernatora, ministeryum spraw wewnętrznych i komitet ministrów, a ponieważ żadnemu z tych warunków nie uchybiono, więc mylne jest twierdzenie p. P., iż magistrat m. Lublina poruszył kwestyę zerwania umowy z przedsiębiorcą.

Z głębokim szacunkiem

A. Bronikowski,

Dyrektor Zarządu wodociągów.

We wszystkich artykułach, skierowanych przeciwko wodociągom lubelskim, znajdujemy zawsze jednych i tych samych krytyków, jakoby specyalistów w sprawach wodociągowych. Ci panowie od pierwszej chwili rozpoczęcia budowy starali się i starają o zdyskredytowanie w oczach szerszej publiczności pod każdym względem tych urządzeń, mających na celu uzdrowotnienie miasta. W artykule p. P. („Gospodarka miast") tegoż charakteru dotknięty został już nietylko sam projektodawca, lecz i ci technicy, którzy wypowiedzieli zdanie w kwestyi wodociągów lubelskich nie w organach prasy peryodycznej, lecz na gruncie nadającym się najwłaściwiej do krytyki technicznej, mianowicie w Stowarzyszeniu techników warszawskich. Do rzędu tych ostatnich p. P. zalicza i niżej podpisanego, nazywając mnie „żarliwym zwolennikiem trzymania światła pod korcem." Za otwarcie wypowiedzione zdanie w sprawie krytyki wodociągów lubelskich i skutkach namiętnej, niefachowej a osobistej krytyki, za zbijanie zarzutów, wypowiedzianych przez p. Kotarskiego, nie frazesami, lecz faktami popartymi, które łatwo jest sprawdzić w biurze zarządu wodociągów lubelskich, otrzymałem epitet powyższy. Pan P. utrzymuje również, że narzekałem na prasę, „która ujawnia to, co winno być tajemnicą przedsiębiorców." Obronę prawdy, popartą faktami, nazywa autor walką interesów prywatnych ze społecznymi; zwraca uwagę, że ta walka jest znamienną świadczącą, jak na gruncie społecznym wyrastają bujne chwasty spekulacyi i afery i wzywa ogół do zniszczenia w gruncie korzeni tych chwastów.

Na posiedzeniu w Stowarzyszeniu techników wykazałem jedynie, jak namiętną, niefachową i osobistą jest krytyka w powyższej sprawie i to samo raz jeszcze w tem miejscu potwierdzam...

Edward Fajans.

Inżenier-Mechanik.

Zarządowi wodociągów.

Muszę przedewszystkiem sprostować wszystkie punkty sprostowania: 1) Niezgodne jest z rzeczywistością twierdzenie, że w Stowarzyszeniu techników jeden tylko p. Kotarski czynił zarzuty. Uchylił on nieco tylko rąbek tajemniczej zasłony. Jednocześnie wystąpił p. Słowikowski, pytając o odpowiednie studya nad wodą gruntową i dziwiąc się odwadze technicznej przedsiębiorcy, jeżeli ten badań takich zawczasu nie wykonał. Usłyszeliśmy wyjaśnienie, że na dokładne studya nie było czasu, bo koncesya upływa. P. Sokal również uczynił dwa bardzo ważne zarzuty: pierwszy dotyczył zamknięcia studzien miejskich, pozbawienia wody biedaków lubelskich, drugi — budowy wodociągów kosztem nie miasta, lecz przedsiębiorcy. 2) Obeznanym ze sprawą nie jest tajemnicą, że warszawska firma przemysłowa p. F. brała udział finansowy w budowie wodociągów lubelskich. Przedstawiciel tej firmy na posiedzeniu techników bronił sprawy bardzo namiętnie. 3) Przytoczyliśmy opinię p. Krysztofowicza, ganiącego źródła, z których korzystają wodociągi. Zdanie to poparli wszyscy specyaliści, którzy badali sprawę na miejscu. 4) Co zaś do § 2, to może zarząd zechce uważniej przejrzeć umowę z miastem, a znajdzie zapewne artykuł, który głosi, że bez pozwolenia ministeryum żadne odstępstwa od zatwierdzonego przezeń projektu technicznego nie mogą być czynione. Zarząd doskonale wie, że ten punkt nie był zachowany przy budowie wodociągów i wie również dobrze, dlaczego tak się stało. Jeżeli nowy zarząd umiał tak pokierować stosunki swe z magistratem, że sprawa zerwania umowy nie jest na porządku dziennym, możemy mu tylko powinszować dowcipu.

Panu Fajansowi.

Myli się p. Fajans, twierdząc, żeśmy dotknęli nietylko projektodawcę, lecz i tych techników, którzy wypowiedzieli swoje zdanie w sprawie wodociągowej. Przeciwnie — stanęliśmy w obronie tych ludzi, którzy śmiało wypowiedzieli swoje zdanie i których p. Fajans w swojem przemówieniu nietylko „dotknął," lecz nawet złajał. Jeżeli p. F. sądzi, że na gruncie koncesyj tego rodzaju wyrastają nie bujne chwasty spekulacyi, lecz tylko niewinne kwiatki, nie będziemy go wyprowadzali z błędu, ale dla ilustracyi przytoczymy przykład z tak dobrze znanych mu wodociągów lubelskich: koszt ich wyniósł 120—130 tysięcy rubli. Licząc nawet tak zwane „expensa i prócz expensów," suma nie przewyższy 150,000. Tymczasem starano się utworzyć towarzystwo akcyjne dla ich eksploatacyi z kapitałem 400,000 rb. Jest to świetna kombinacya koncesyjno-finansowa i zdaniem p. Fajansa nie należy ona do „bujnych chwastów," lecz do niewinnych lilij. Na szczęście powstrzymano te zapędy, dzięki czemu niedoszli akcyonaryusze zachowali w kieszeniach swoje 250,000 rubli.

P.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Ministeryum rolnictwa i dóbr państwa pozwoliło na wydawanie gromadom wiejskim pożyczek długoterminowych z ogólnego funduszu melioracyjnego na urządzanie we wsiach stawów lub sztucznych zbiorników wody. Środek ten ma na celu zapobieżenie po wsiach brakowi wody, który dotkliwie daje się odczuwać w razie ...

— Rada lekarska orzekła, iż aptekarze, skazani wyrokiem sądowym na więzienie, bez pozbawienia praw, mogą po odcierpieniu kary zarządzać apteką.

— Zarząd kolei Nadwiślańskiej zaprojektował dopuszczenie wychowańców szkół tutejszych na praktykę, jako ekspedytorów, zawiadowców itd., celem wyrobienia z nich zdolnych urzędników. Praktykanci owi przez czas obeznania się ze służbą i instrukcyami, otrzymywać będą po 30 rb miesięcznie. Następnie, według listy sporządzonej otrzymywać oni będą kolejno posady i awanse.

— Towarzystwo lekarzy wileńskich kończy 94 lata swego istnienia. Powstało ono dzięki zabiegom prof. uniwersytetu wileńskiego, Józefa Franka. Towarzystwo liczy obecnie 264 członków, a w tej liczbie 43 zagranicznych. Stan kasy wykazuje: wpływów rb. 1,434 kop. 12 i wydatków rb. 1,440 kop. 79. Fundusz stypendyalny wynosi rb. 7,070 kop. 51, a kapitał rozerwowy — rb. 700. Laboratoryum, w którem w r. z. dokonano 1,300 analiz, przyniosło dochodu rb. 1,807 kop. 83. Biblioteka Towarzystwa liczy obecnie 17,781 tomów dzieł drukowanych, 272 rękopisów, oraz mnóstwo ciekawych rozpraw naukowych.

Szkoły. Władza zatwierdziła projekt dwu szkół handlowych w Warszowie: 7-klasowej i 3-klasowej, o które starało się kupiectwo tutejsze.

— W gub. Radomskiej powstały dwie szkoły fabryczne: we wsi Krzyżanowice (pow. Iłżecki) i w Radomiu przy miejscowej hucie szklanej.

— *Warsz. Dniew.* zapewnia, iż w uniwersytecie warszawskim powstanie katedra chorób dziecięcych, dla której urządzona będzie klinika specyalna w jednym ze szpitalów.

Prasa. W Wiedniu zacznie wkrótce wychodzić dwutygodnik rosyjski p. t. *Sławianskij Wiek*.

Przemysł i handel. W fabrykach, wyrabiających maszyny i narzędzia rolnicze, zwiększyła się znacznie w ostatnich czasach produkcya. Szczególnie żniwiarki kosiarki znajdują liczny pokup. Są to podobno skutki wychodźtwa ludu roboczego do Prus i braku przez to robotnika. Obywatele, szczególnie powiatów nadgranicznych, zmuszeni są pracę ręczną zastępować maszynami.

Koleje i komunikacye. Rada kolei Warszawsko-Wiedeńskiej otrzymała z Petersburga wiadomość o ostatecznem zatwierdzeniu budowy kolei Warszawsko-Kaliskiej.

Zmarli. Jan Ursyn Niemcewicz, marszałek szlachty gub. Grodzieńskiej.

— Dr. Czesław Stiche, w Warszawie.

Odpowiedzi Redakcyi.

Stałemu prenumeratorowi W. H. W Zurichu i Darmstacie.

Nowemu prenumeratorowi w Radomiu. Nie możemy odpowiedzieć, gdyż pytanie jest zbyt nieokreślone.

Wuzel. Zbyt mętny.

B. R. C. Pomysł błahy i bardzo słabo rozwinięty. Styl rozwlekły, gawędziarski, koniec nieoczekiwany.

Pani Ciemnol. w God. Dwa pierwsze zeszyty III tomu Maksimowa kosztują z przesyłką 85 kop.

SPROSTOWANIE. W pierwszym wierszu poezyi „W wieczności," zam. „lotach." powinno być „latach."

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 7 Апрѣля 1900 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.